CHICAGO

I. 603.145

Ludwik Strzeszewski

BOGUSŁAW ADAMOWICZ

# WESOŁY MARSZAŁEK

KSIĄŻKI CIEKAWE
WARSZAWA

BOGUSŁAW ADAMOWICZ.

# WESOŁY MARSZAŁEK

Z. 213

KSIĄŻKI CIEKAWE
WARSZAWA NOWY ŚWIAT 47.

BIBLIOTEKA NARODOWA
I. 603.145

ZAKŁADY GRAFICZNE ZYGMUNT SAKIERSKI
WARSZAWA, MIEDZIANA 4-a. TELEFON 126-49.

1950 K 271/1.

# Wesoły Marszałek.

## I.

Przygoda, którą opowiem, miała miejsce na Litwie około r. 1880, gdy po ukończeniu szkół odbywałem w wojsku obowiązkowe lata mustry. Siedziałem z oficerami w skromnem kasynie, w miasteczku B — e powiatu Borysowskiego, gdzie pułk nasz stał garnizonem. Było to w środku zimy podczas ostrych marszów. Skończyliśmy ledwo obiad, a już ciemniało na dworze. Rozmowa, zwykle nudna w obecności zwierzchników, tym razem się ożywiła. Ktoś zaczął się rozwodzić na temat spirytyzmu.

Byłem podówczas bardzo młody, na rzeczy się nie znałem, ale kategorycznie nie wierzyłem w duchy. Nie mogłem się nie unieść, słuchając śmiesznych bajań, i wytaczałem raz po raz ciężkie kolubryny mojej młodzieńczej trzeźwości racjonalistycznej. W najwymowniejszem miejscu przerwał mi stary pułkownik.

— Słuszność po pańskiej stronie, rzekł, Mie-

czysławie Stanisławowiczu. Wszystkie historje o duchach da się wytłumaczyć w sposób naturalny, jakimś najczęściej figlem, albo złudzeniem optycznem, albo poprostu tchórzostwem, bo strach ma wielkie oczy. Chociaż .. niema prawidła bez wyjątku... Kiedyś pan sam się o tem przekona; bo któż się nie przekona?..

Pułkownik ziewnął czy westchnął, przymykając oczy, w zamyśleniu jął bębnić palcami po stole.

— Ciekawy też byłbym, podjął znów po chwili, jakby to pan się poczuł w wypadku spotkania się w nocy sam na sam z takim „wesołym marszałkiem?.“

To mówiąc zatrzymał na mnie dłużej swe blado szare oczy, w których z pod tłustych powiek błysnęło jakieś ostrzejsze światło przeświadczenia.

— Historja o tym upiorze wygląda na śmieszną plotkę, jednak opowiadają ją tacy ludzie i w taki sposób, że wprost nie wypada nie wierzyć... Zresztą wskażą panu i miejsce, i czas, i nawet zaofiarują konie. Kto chce ten może sprawdzić choćby zaraz. Ja na to się nie piszę przez wzgląd na... mój reumatyzm, bo w nawiedzonych domach się nie pali w piecach .. Tak... tak... uśmiechnął się z goryczą.

— Wesoły marszałek? zapytałem szyderczo. Ktoż to taki być może? Jeżeli duch, to chciałbym go zobaczyć.

— Zobaczyć go nie trudno, przy dobrej chęci. A jest to pewnie upiór, bo po śmierci chodzi. Jak się nazywał za życia, o tem legenda milczy. Miał być marszałkiem szlachty gdzieś w tych stronach, za czasów Mikołaja I-go

A trzeba panom wiedzieć, że tym dygnitarzom szlacheckim, polskiego pochodzenia nie brakło charakteru i oryginalności. Jeden z nich, jeśli nie mylę się, Miński, kazał się portretować po tysiące razy, poto, by naśladując cesarza, rozdawać sympatykom swe podobizny. Inny znów taki marszałek już pół wieku temu zaczął budować pałac na tak wielką skalę, że chyba za sto lat jeszcze nie będzie ukończony, ale już dziś ten pałac wspaniałością i skarbami sztuki może rywalizować z najprzedniejszemi rezydencjami w całem imperjum Rosyjskiem. Słyszałem i o takim, który w ciągu całego życia nie zdjął ani razu z głowy swojej mycki, co prawda bardzo ładnie wyszywanej złotem, wzbudzając posądzenie, że był piętnowany. W testamencie nawet nakazał, by jej nie tykano... Poszła więc z nim do grobu ta dziwna tajemnica.

Nasz straszący dygnitarz, jak sama nazwa mówi, odznaczał się zapewne zaletami humoru. Był może złośliwym szydercą, może wesołym hulaką; a tem się różni od innych, że nawet po śmierci nie lubi sypiać w nocy. Chodzi po swem mieszkaniu, szpera, gospodarzy, jak czynił to za

życia, najczęściej jednak przesiaduje w salonie przed kominkiem, jakby się grzał przed ogniem, którego tam niema...

Widziałem jego fotel w dzień i w towarzystwie... — Tu się zasępił pułkownik i na chwilę przerwał. — Podobno dotąd jeszcze stoi na tem samem miejscu... Byłem tam wówczas... gdy to zwiedzaliśmy ten dom... zapowietrzony. Nie wiem, co mogło być strasznego w tym marszałku, chociaż... Właściwie jeden tylko charakterystyczny słyszałem o nim szczegół: miał on podobno tak wielką słabość do odznak, że nawet na szlafroku nosił swe ordery. I na świat zjawia się z za grobu w galowym mundurze, ze złotym kołnierzem, obwieszony „krzyżami" i „gwiazdami".

— Chciałbym, rzekłem, pogadać z tym oryginałem. Możebym coś się mógł dowiedzieć o tamtym świecie — od naocznego świadka.

— To trzeba jechać tam i przenocować.

— A gdzież to jest?

— Oh, wcale niedaleko. — Nie dalej niż wiorst dziesięć od tego miasteczka, za karczmą Kalumnicą, o którą dopytać się można w pierwszym lepszym zajeździe. W miejscowości odludnej, w pobliżu Berezyny stoi tam dom opuszczony od już bardzo dawna. Jest to dworek szlachecki, a raczej były folwark. Tam mieszkał nasz marszałek po dymisji, tam umarł i od wielu lat już straszy. Przy dworze

jest oficyna, w niej były sługa jego Tatar-odludek, coś jakby stróż cmentarny, pilnuje porządku w apartamentach po śmierci swego pana. Ten stary warjat, figura zresztą mocno podejrzana, najlepiej zna i rozumie całą tę historję. Ale dotychczas nikt jej nie wyjaśnił.

Tajemniczy ton opowiadania zaczynał mnie intrygować...

— Wartoby ją wyświetlić, panie pułkowniku.

— A wartoby.. Lecz sądzę, tu zwrócił się żartobliwie do najsympatyczniejszego z mych kolegów — że nawet nasz doktór, który bez strachu kraje trupy, nie zdobyłby się na taką odwagę!..

— A jeśli się zdobędę? odrzekł zagadnięty.

— No, no, nie radzę nikomu wdawać się w te głupstwa... Chowajmy nasze nerwy dla ważniejszych rzeczy.

— Idę o zakład, że...

— Tylko bez żadnych zakładów, — z powagą rzekł pułkownik. W podobnych sprawach niema nic głupszego nad zakłady.

— Teraz pozwólcie mi nieco się zdrzemnąć przed partją preferansa.

— Przenocuję w tym dworze, odezwał się po wyjściu pułkownika doktór.

— Chce pan koniecznie i z duchem się poznajomić?

— A właśnie chce mi się tego? — Doktór był

w całym słowa znaczeniu dobrym chłopcem; miał, jak się to mówi, „szeroką naturę“, lubił szastać pieniędzmi, olśniewać dowcipem i ogładą. Słynął też z wielkiej łatwości zawierania stosunków. Nie było domu w miasteczku, począwszy od aptekarza, a kończąc na właścicielu sklepiku, gdzieby go nie respektowano. Gorzej rzecz miała się w stosunku do miejscowych obywateli ziemskich, do których dla mnie, jako dla Polaka, był łatwiejszy dostęp. Większa nasza zażyłość łączyła mnie z państwem C. Do nich jednak nie chiałem go wprowadzać, by nie dopuszczać Moskali do polskiego towarzystwa. Zwłaszcza ze względu na pannę Jadwigę,—istotny kwiat anielstwa, jaki wydają czasem zacisza wiejskich dworów, odmówiłem doktorowi pośrednictwa, mimo że mówił po polsku, co było niezmierną rzadkością pośród oficerstwa.

— Koniecznie muszę przenocować u wesołego Marszałka! — powtórzył.

— O cóż chodzi, prosimy.

— Tylko warunek — nie odkładać!..

— Dobrze. Dziś o dziesiątej wyjeżdżam stąd, doktorze, do owej karczmy, stamtąd już sam pieszo udam się do dworu, dostukam się do tego Turka czy Tatara i nakażę, aby ci nocleg przygotował.

— Tylko nie dziś, — rzekł doktór. — Za nic w świecie dzisiaj.

Zaśmiano się.

— Umówmy się więc na jutro, co wam szkodzi, za to nietylko spędzę tam noc całą, lecz nawet podejmuję się, przeszkodzić temu głupiemu duchowi usiąść na ulubionem miejscu, gdyż sam zasiądę w fotelu i nie wstanę, choćby się mury waliły.

— Jeżeli tak, to ja mogę wyręczyć cię, kochany doktorze, rzekłem, zdziwiony i podrażniony nieco tą jego wielką odwagą, o którą go nie posądzałem dotychczas. Chociaż też wolałbym odłożyć to do jutra. Mam dzisiaj tańczyć u znajomych. I zapowiada się kulig na Berezynie... Przyrzekłem, że będę.

— U państwa C.? — podchwycił z radością doktór — O, niech pan się nie troszczy! Ja wytłumaczę pańską nieobecność.

— Więc pan już ich poznał?

— Tak. Wczoraj miałem przyjemność poznać brata panny Jadwigi i jestem dziś zaproszony na kulig.

— Doprawdy rzadki to dar, tak łatwo zbliżać się z ludźmi.

Byłem nieco zdziwiony... Lecz piękność panny Jadzi nie obchodziła mię na tyle, bym miał narzucać swą opiekę. Od roku miałem już narzeczoną, czekałem tylko na możność porzucenia służby, by wziąć ślub. A ten wesoły doktorek, jak

widzę, miał i tutaj szczęście... Podałem mu dłoń, którą uścisnął skwapliwie i z wielką serdecznością.

— Więc zakład?

— Zakład!

— Tylko, czy mam tam siedzieć przez noc całą, spytałem?

— O nie. Tam jest za zimno, wystarczy dwie godziny: od 11 do 1-szej po północy.

— Trzeba ten czas przepędzić w fotelu marszałka? — Zgoda.

— O kosz szampańskiego.

Rozeszliśmy się obaj, zadowoleni z siebie.

## II.

Wieczorem tegoż dnia, o umówionej godzinie, zaopatrzony w zapałki i zapasową świecę do latarni, zgóry bowiem wiedziałem, że przy podobnych zakładach bywa się narażonym na przeróżne figle, zabrałem się do rzeczy najważniejszej do obejrzenia rewolweru. Bo duchy, moi panowie, mają to do siebie że czasem od nich odskakują kule. Warto więc zawsze sprawdzić, czy nie są powyjmowane przez jakąś tajemniczą dłoń, sprzyjającą zaświatom i zastąpione kłakami lub papierem.

Rewolwer znalazłem we wzorowym porządku.

Wsiadłszy tedy w sanki, kazałem się wieźć do wiadomej karczmy. Droga szła lasem dosyć gęstym, który w miarę oddalania się od miasta co-

raz bardziej głuchnął. Wjechałem nareszcie jakby w jakiś kurytarz ciasny, w jakiś tunel niemiłosiernie długi i prawie zupełnie ciemny. Bo niebo ledwo miejscami dawało znać o sobie, że istnieje. Dopiero po dobrej godzinie zaczęło szarzeć w koło mnie. Kiedy wyjechaliśmy na jakąś większą polanę, — spostrzegłem, że już księżyc gramolił się na sosny.

Tutaj dopiero przyszły mi na myśl strachy, ale to prawdziwe strachy: mianowicie wilki. W tej porze roku zgłodniałe bestje włóczą się wielkiemi zgrajami, a można sobie wystawić, jakie są w kupie zajadłe, jeżeli czasem w pojedynkę nawet wskakują na ganki odludnych dworów, albo czatują zuchwale przed drzwiami chałup samotnych. Opowiadano o tem niestworzone rzeczy. Trzymając więc w pogotowiu broń, wpatrywałem się w ciemne zarośla, bo las się już rozstępował. Wytężałem słuch.

Na szczęście nie doszło uszu moich nic podejrzanego. Nie doznawszy żadnych przygód, stanąłem w szczerem polu przed ową Kalumnicą, zwykłą żydowską karczmą, ledwo trzymającą się na nogach, a krzywą i pochyloną, jakby nieudana babka wielkanocna.

Przyjęto mię gościnnie, to znaczy, że prędko podano samowar. Po krótkim wypoczynku rozpytałem o dalszą drogę arendarza, który nie bez

zdziwienia, lecz i nie bez jakiejś utajonej niechęci udzielał mi objaśnień. Kręcił głową, mlaskał językiem, aż wreszcie nie wytrzymał i pozwolił sobie dać wyraz swemu niezadowoleniu.

— Czy to pan oficer naprawdę chce tam iść sam, teraz, w nocy czy pan tylko żartuje?

— Bynajmniej. Pójdę tam za chwilę. —

— Poco to robić takie rzeczy? — Wzruszył ramionami. — Po co tam chodzić. Ten dom zupełnie pusty w polu stoi...

— Wiem, że jest pusty i że stoi w polu. Ale może się dziać w nim coś ciekawego?

— Co może się dziać? Nic się nie dzieje. Proszę pana, rzekł wreszcie z tajemniczą miną. Ja panu powiem, kilka lat temu przyjechał do mnie jeden taki śmiałek, co to, — wie pan, — poszedł o taki „zakład" z panami oficerami...

— Z oficerami?

— Tak.

Przypomniał mi się tajemniczy ton opowiadania pułkownika.

O taki zakład ciągnął arendarz, że sam przenocuje w tym dworze. No jak poszedł, to już nie mógł wrócić. Nazajutrz wynieśli go ci sami oficerowie, co się z nim zakładali.

— Umarł ze strachu? zaśmiałem się. — Nie bój się, ja tego nie zrobię.

— Dlaczego ze strachu? Może i nie ze strachu

on umarł, odparł arendarz, lecz widząc, że ostrzeżenie jego nie odnosi skutku, machnął ręką z pogardą i wyszedł do drugiej izby.

Wyglądało, bowiem wszystko na to, że dwór jest gniazdem opryszków, z którymi arendarz ma spółkę. Przypuszczenie to bynajmniej mnie nie zniechęciło. W mniemaniu własnem uchodziłem podówczas za szalenie odważnego zucha i wcale radbym był odegrać rolę owego bohatera z powieści, który w ruinach zamku, mającego opinję nawiedzonego przez duchy, odkrył jaskinię fałszerzy pieniędzy.

Niewiele już miałem czasu trzeba było mi śpieszyć. Rozkazawszy więc ordynansowi, by zajechał przed dwór marszałka punktualnie o pierwszej w nocy, zapaliłem latarnię i dobrze płaszczem otulony, z nasuniętą na uszy czapką, pobrnąłem we wskazanym kierunku.

## III.

Trafić nie było trudno. Uszedłszy kilkaset kroków w stronę rzeki, ujrzałem w polu charakterystyczną kępkę drzew w tym czasie ażurową, a śród niej ciemny kształt drewnianych zabudowań. Nad dworem wznosił się czysty księżyc, ale tak wprost ponad nim, jakby wystrzelony z komina.

Brnąć tak przez pole, po kolana w śniegu, nie należało do wielkich przyjemności; już dochо-

BIBLIOTEKA NARODOWA

dząc do celu, zwróciłem oczy w dal, ku brzegom Berezyny, i mimowolnie westchnąłem:

„Oni tam pędzą kuligiem, szczęśliwcy, a ja, głupiec, ponoszę skutki swej lekkomyślności.

Nie było bramy ani ogrodzenia żadnego przy tej ponurej sadybie. Cisza panowała niemal że cmentarna. Gdybyż choć pies zaszczekał!.. Gdzie tam: nawet wilk dawno nie przebiegał tędy... Ta szczególna odludność, którą tak naraz, wyczułem, ten zupełny brak znaków życia wszelkiego (jeżeli znakiem życia nie są ślady wron, które widocznie na czerstwym śniegu sejmują tu codziennie), to wszystko łatwo zbijało teorję o fałszerzach monet i nasuwało mi natrętnie myśli nieprzyjemne.

Przypomniała mi się z dzieciństwa czyjaś rozsądna uwaga, że w towarzystwie i za dnia nikomu duchy strasznemi się nie wydają, lecz w samotności i w nocy rzecz się ma inaczej. Wcale nie czułem się dobrze w tej odludnej pustce.

Oficyna, w której miał mieszkać ów dozorca— Tatar, — była otoczona paroma brzozami; zwieszającemi na dach swoje „płaczące“ gałęzie i miała w sobie podobieństwo do trupiarni, stojącej na cmentarzu. Okiennice w niej były pozamykane na głucho, a najmniejsze światełko nie błyskało przez szpary. Zastukałem do drzwi — bez żadnego skutku, potem w jedną z okiennic, — i znowu wróciwszy pode drzwi, zacząłem walić, nie żałując pięści,

Nikt się nie odzywał.

Znudzony próżnem dobijaniem się, poszedłem ku dworowi. Tam kilka niezasłoniętych okien gościnniej, rzekłbym, czerniało szybami. „Dostanę się przez okno w razie ostatecznym," rzekłem do siebie. Lecz gwałt okazał się zbytecznym. Gdy bowiem wszedłem na ganek i nacisnąłem klamkę, drzwi się poddały odrazu. Należało jedynie odrzucić trochę śniegu, po którym od wielu dni tu również nikt nie stąpał, — nawet wrony.

Wsunąłem się wreszcie z przezornością detektywa do sieni, gdzie zaraz podemną skrzypnęła nadpróchniała podłoga, i machinalnie chciałem otrząsnąć śnieg z butów, ale wnet zaniechałem zamiaru: tupnięcie nogą w tym domu wywoływało jakieś nad wyraz skomplikowane skrzypnięcia i hałasy... Zresztą mógłbym tem zbudzić czujność podejrzanych mieszkańców... A więc możliwie cicho i ze wszelkiemi ostrożnościami zacząłem oglądać wnętrze tej dziwnej rudery. Przeszedłem przez kilka pokojów, zupełnie niemieszkalnych, noszących ślady rabunku. Kilka połamanych sprzętów czaiło się po kątach; — gdzie niegdzie stało parę ocalałych krzeseł. Najgorzej wyglądała kuchnia, zaniedbana od wieków, budząca zgrozę ruiną zawalonego pieca... Jeden tylko pokój, największy, o trzech oknach, przylegający do sieni, zachował jeszcze

coś z umeblowania. Był to widocznie ów sławetny salon. Na ścianie wprost wejścia wisiały portrety, wśród których uwagę moją zwrócił głównie jeden, wyobrażający mężczyznę wieku już podeszłego, w mundurze, jaki w połowie XIX stulecia nosili cywilni dygnitarze rosyjscy. Z pod płaszcza zwanego „mikołajewskim", który znów stał się modnym i za moich czasów oficerskich, wyglądał złoty kołnierz i order w kształcie gwiazdy. Twarz ogolona starannie z charakterystycznie zaczesanemi na skronie włosami — była o tyle wyrazista i pociągała szczególnie miękkim uśmiechem ust i żywością oczu.

— To on! szepnąłem, — to niezawodnie Marszałek.

W jednym z kątów pokoju spostrzegłem dosyć pokaźną szafę bibljoteczną i drzewo jej było tak stoczone już przez robaki, że nawet bałbym się dotknąć... Na zapleśniałych półkach leżało w nieporządku kilka haniebnie zakurzonych książek. Dalej nieco wygodnie opierała się o ścianę nadłamana kanapa, która kształtem i stylem mogłaby przykuć oczy najwybredniejszego antykwarjusza. Widocznie były dygnitarz skupił w tym domku resztki swej dawnej, zgaszonej z dniem swej dymisji świetności. — Moją jednak uwagę pośród tych rupieci przedewszystkiem pochłaniał duży i wygodny fotel bidermajerowski. Stał tuż naprze-

ciw kominka, w którym na pewno od lat już ognia nie zapalono. Patyna pyłu, śmiecia i wilgoci wymownie świadczyła o tem.

Dotknąłem ręką fotela: — na palcach mych zostały ciemne plamy kurzu. Podłogę też, jak zresztą wszystko, przesłaniała gładka szara warstwa, miejscami już osypana śniegiem z mego obuwia. — Nie! nie jest możliwością, by ktoś w tym domu każdej nocy chodził! Nikt od miesięcy nie był w tym pokoju!

— Ale duch przecież może nie zostawiać śladów?,..

Ta myśl przelotna i w gruncie żartobliwa nie przysporzyła mi jednakże wesołości. O, wcale rad nie byłem, żem zabrnął w to pustkowie.

— Od wieków nikt tu nie był, powtarzałem w myśli, przypatrując się charakterystycznym trójkątom i smugom pajęczyn, zasnuwającym w różnych miejscach ściany.

Lecz północ już się zbliżała, czas było zająć stanowisko.

— Ale jakże to będzie? Gdy zagarnę jego miejsce, gdzież on, nieborak, usiądzie, gdyby naprawdę miał przyjść aż z tak daleka?...

Brawura jest dzieckiem strachu, tak moi panowie! Szalenie mi się nie chciało siadać na tym zapajęczonym sprzęcie... W saloniku nie było krzeseł, więc pośpieszyłem do sąsiedniej izby.

Stamtąd, jak z czarnych czeluści, wyniosłem jedno krzesło akurat kulawe, i ręką nieco chwiejną ustawiłem je tuż obok kominka tak, iż znalazło się naprzeciw mnie — w chwili, gdy wreszcie z rezygnacją padłem w fotel strasznego marszałka.

W momencie tym nie zaszło nic nadzwyjnego. Skrzypnęła tylko głośniej podłoga i poczułem, że za plecami memi rozbiegają się pająki... Wstrząsnął mną dreszcz, nie wiem, czy z zimna (a było 18 stopni niżej zera), — wiem jedno, iż to wówczas zrobiłem spostrzeżenie, że lęk mistyczny jest czemś stanowczo różnem od zwykłego strachu...

Do głowy mimowoli cisnęły mi się wspomnienia z opowiadań o zjawiskach, mających miejsce w nawiedzonych domach: o migotaniu światełek, pukaniach w ściany, przesuwaniu się mebli i t. p. Objawy te nie zachodziły i nie życzyłem ich sobie, jednakże z drżeniem serca czekałem na coś niezwykłego.

Co chwila podejrzliwie rzucałem okiem na krzesło, lecz ono wciąż stało na miejscu, nie wykazało chęci do samowolnej przechadzki po salonie. Latarnia umieszczona u nóg mych na podłodze, jakkolwiek nie bardzo oświetlała pokój ,nie zamierzała przecież nagle zgasnąć, jak tego ten zwykły program zjawisk nadprzyrodzonych wymagał...

W trzaśnięciu cichem, gdzieś, w półkach szafy, lub w skrobaniu w kanapie, które mych uszu

doszło, — widziałem prace robaka, więc naturalną przyczynę. I nawet gdy coś nagle z łopotaniem i piskiem przemknęło po suficie z błyskawiczną szybkością, raz, a potem drugi, — wyrozumowałem z łatwością, że to są chyba szczury, chociaż nie bardzo to było do nich podobne... Po ruderach wyprawiają podobne harce znane z bajek gnomy lub koboldy...

— Szczury, nie szczury, mniejsza. Ziewnąłem niepotrzebnie i wzrok zwróciłem ku oknom, na których szybach kładło się drżące księżycowe srebro.

I nagle niemal podskoczyłem na siedzeniu. Rozległ się głośny wystrzał, tak mi się narazie wydało; lecz raczej był to mocny trzask, jakiś szczególny, tępy, drewniany.. Włosy mi się poruszyły pod czapką. Dobra chwila minęła, nim zdołałem pojąć, że to mróz tak strzela. Bo cóż innego być mogło.

Spojrzałem znowu na krzesło. Nikt wprawdzie na niem nie siedział, lecz ono teraz kiwnęło się ku mnie, jak w ukłonie, i przechyliło się na swoją przednią krótszą nogę... A jednocześnie coś jakby się poruszyło w powietrzu, coś fosforycznie zamigotało gdzieś za mną, jak to się dzieje na seansach przed materjalizacją... Zrobiło się widniej w pokoju

Obejrzałem się.

Wąska, świetlista, drżąca jakaś smuga — mi-

gotała prostopadle w dalekim kącie pokoju. To rzucał światło księżyc, który już zdołał się wślizgnąć z ukosa w pierwsze z brzegu okno.

— I otóż wszystko tak samo da się wytłumaczyć, co bądź tu dziać się może. Zaśmiałem się niby z rozczarowaniem, zezując jednak na krzesło, które tym razem znowu „kusztyknęło", ku ścianie teraz, by oprzeć się na tylną krótszą nogę. —

Przywykłem wreszcie do tych wzruszeń, przestałem się przejmować, a jeśli serce mi drgnęło, to tylko ze strachu przed nudą tej całej długiej godziny, którą musiałem jeszcze odsiedzieć w tem piekielnem zimnie.

Cisza, samotność i tajemniczość miejsca nie mogą nie oddziaływać na naszą wyobraźnię, na moją oddziałały jeszcze i w ten sposób, że zajęty wyczekiwaniem jedynie na coś niezwykłego, zapomniałem zupełnie o prostej możliwości interwencji ludzkiej, od której grozić mym nerwom mogły poważniejsze figle, niż te, które płatał mróz lub księżycowe światło.

Mylnie sądziłem, że jestem sam we dworze.

Prócz mnie był jeszcze ktoś, kto wreszcie uznał za stosowne zamanifestować o swej obecności.

Poprostu naraz głośno zastukano w okno. Zastukano z kolei w szyby wszystkich trzech okien salonu. Tak mógł zastukać tylko człowiek palcem swej zdrowej i czującej ręki.

— Co za banalny pomysł, szepnąłem z niesmakiem. Żeby się też nie zdobyć na coś dowcipniejszego! Niechno mi się tam teraz ukaże jakie straszące widmo, to bez ostrzeżenia strzelę w samą maskę!

Lecz nic się nie ukazało, i tylko, jakby w odpowiedzi na moją pogróżkę, ktoś cicho zaśmiał się w ogrodzie... Nie bałem się już niczego, mając najwyraźniej do czynienia z ludźmi.—Pamiętam, że nigdy tak jak wówczas nie byłem panem swych nerwów.

Wyjąłem zegarek. Wskazówki na cyferblacie złączyły się jakby w jedną, wskazując godzinę duchów z całą dokładnością. Mówią, że o tej godzinie największa cisza zalega na całym świecie. Istotnie było cicho tak, jak makiem zasiał.

Słuch jednak miałem zawsze wyjątkowo ostry— i śród tej wielkiej ciszy zdało mi się, że ktoś, cichutko wsunąwszy się do sieni, ostrożnie naciska klamkę od drzwi do salonu, chcąc je otworzyć możliwie bez hałasu....

Zwróciłem się w tę stronę, nie wstając jednak z miejsca. Drzwi ku zdumieniu memu były już naoścież otwarte. Stała w nich jakaś postać w ciemnym płaszczu.

Gotowy do strzału skierowałem na nią światło latarni i — zawrzałem gniewem.

Poznałem doktora, który przychodził mnie szpiegować.

— Brawo, Mieczysławie Stanisławowiczu, zawołał wchodząc, a raczej wkraczając do pokoju. Widzę, że naprawdę nielada zuch z ciebie. Z jaką ty flegmą odsiadujesz stracha i nawet kun, biegających po strychu, się nie lękasz!..—Cha, cha, cha, śmiał się nieco zmienionym i jakby nie swoim głosem, co przypisywałem podnieceniu trunkiem.

— O strzelaj, śmiało strzelaj, w samo serce, kula odskoczy odemnie.

Fanfaronada ta tembardziej mnie rozgniewała i już otwierałem usta do gorzkich wymówek...

Przerwał mi gestem tajemniczym ręki:

— Cyt! — rzekł, przychodzę z panem Florjanem Melchjorowiczem, najserdeczniejszym moim przyjacielem, z którym doznałem szczęścia się poznać dzisiaj przy kuligu...

— A to mój najlepszy kolega, żołnierz nieustraszony, chociaż tylko „ochotnik", podporucznik B., pasażer bez zarzutu,

Śmiejąc się, zarekomendował mnie nowemu gościowi, który się wsunął za nim i też wyglądał na podchmielonego. —Widocznie kulig się udał,— pomyślałem sobie.

Twarz tego gościa, wygolona starannie wydała mi się nie obca na pierwszy rzut oka. Z pod siwych modą staroświecką na czoło zaczesanych

włosów sterczały brwi krzaczaste i wyglądały oczy, błyszczące niewymowną błogością tych szczęśliwców, którym akurat w miarę udało się zakropić robaka. Wyraz ust rozchylonych w dobrodusznym uśmiechu podnosił jeszcze urok tej fizjognomji. Staruszek mógł mieć lat około siedmdziesięciu.

— Niech że pan siądzie, — rzekłem, widząc, że starzec chwieje się na nogach, gdy tymczasem doktór już zdążył zająć kulawe krzesło. Skorzystał z zaproszenia i upadł z rozkoszą w fotel, poczem obaj wesoło się zaśmieli...

Z pijanym trzeba być uważnym. Spostrzegłszy błyskotkę na piersi gościa, którą on zaraz wstydliwie postarał się zakryć płaszczem, zapytałem wesoło:

— Jakże się udał kotyljon?

— Jak nigdy! Jak nigdy, nic w mojem istnieniu! Z emfazą zawołał doktór.

Panna Jadwiga to dusza jasna, czysta, jak promień... I zaczął pieścić przypiętą do piersi herbacianą różę. To anioł, czy wiesz o tem, — dodał, wlepiwszy we mnie przeraźliwie wymowne spojrzenie. — Czy uwierzysz, że zamierzaliśmy wszyscy, całem towarzystwem zajechać tu do ciebie, ale tak jakoś się stało, że tylko pan Florjan dał się na to skusić... i to tylko dla tego, że ja sam się bałem... Dziwne to, prawda?

Tu zamilkł. Spojrzałem nań uważnie. Oczy

teraz miał jakieś szklane, zimne bez wyrazu, wparte gdzieś hen w dal jakąś niewiadomą. Starzec znów, bardzo senny, silił się podnieść powieki, by uśmiechnąć się do mnie... Obaj byli niesłychanie bladzi. — To się zaleli, mój Boże, jeżeli zasną tu, to niezawodnie zmarzną.

— Czy ci nie dobrze, zagadnąłem łagodnie doktora.

— Nie powiem! zabełkotał w jakiś dziwnie uroczysty sposób.

— Wstawaj, kolego. Marszałek już nie przyjdzie. I czas nam wszystkim do domu.

— O czas, czas, jęknął, jakby czemś przerażony i raptem podniół się z krzesła.

— Przegrałeś zakład, kochanku, — rzekłem. Pójdziemy zatem ..

Zachichotali znów obaj.

— Bo twoja wina, żeś mi przerwał seans.

— Phi!. Twoja, moja... nasza, wasza .. śmiał się doktór. O to nie będzie sądu! — dodał z powagą, jakiej w nim dotąd nie znałem. — Ty przegrałeś, ja przegrałem... rozumiesz? powtarzał, ujmując starca pod ramię w najpoufalszy sposób.

Nareszcie wyszliśmy stamtąd. —

Byłem pewny, że udadzą się za mną do miasta, lecz zawrócili w inną stronę.

— Gdzież wy idziecie, na Boga? W odpowiedzi doktór po pijacku machnął mi obojętnie

ręką, i tylko przyśpieszył kroku. Szli oddalając się coraz szybciej, słaniali się przy tem i chwiali w niemożliwy sposób... Nie chcąc porzucać pijanych na los szczęścia, starałem się za nimi podążyć, lecz ugrzązłem po pas w śniegu. Wybrnąwszy z jamy, z trudem, znowu się w innej zapadłem... A oni już byli daleko — i nareszcie zniknęli mi z oczu. — Śpieszą pewnie do towarzystwa, do sanek, które czekają u brzegu. — To sobie powiedziawszy, zawróciłem uspokojony do karczmy. Ale teraz dopiero doznałem niebywałego strachu. Bałem się podnieść oczu, przechodząc około dworu, by nie zobaczyć wypadkiem światła w oknach. Nogi mi dygotały. Na szczęście już mój woźnica podjeżdża pod dwór. Wsiadłszy do sanek, kazałem pędzić co tchu do miasteczka.

W kasynie na wstępie samym ujrzałem pułkownika, który grał w preferansa z jakimś cywilnym jegomościem.

— A to pan, rzekł szyderczo, więc pan jednak tam jeździł?..

— Tak, — odpowiedziałem.

— I panu nie wstyd było wdawać się w takie głupstwa?

— I cóż, nic się nie stało. Czekałem na ducha, który się nie stawił.

— Niepotrzebnie pan nań czekał, odezwał się cywilny. Bo przecie wszyscy wiedzą, że już Marszałek

nie przychodzi. Od czasu kiedy (przed pół rokiem) wyprowadził się stamtąd ten Tatar łajdaczyna, ustały te jego sztuczki.

— Tatar był silnem medjum, — rzucił ktoś z przekonaniem.

— Mniejsza, — rzekł ostro pułkownik, — ale przez takie zabawy można nabawić się choroby serca... Nie wolno wdawać się w podobne głupstwa.

Czułem się źle, czułem, że istotnie popełniłem głupstwo.

Zmęczony nad wyraz, rzuciłem się na łóżko. Ale nie dano mi wyspać się tej nocy. Sny miałem dziwne, męczące. Sprzeczałem się jakby z doktorem, który siedział na mem łóżku, jak miał zwyczaj czynić niemal że co rano, i prawił mi bez końca o zaletach panny Jadwigi.

Zbudziło mnie energiczne szarpanie za rękaw od koszuli:

— Panie poruczniku!.. Panie poruczniku!.. Czas wstawać! Pułkownik pana wzywa. Sprawa pilna, i pewnie dotyczy tego wypadku z doktorem.

— A gdzie doktór, czy wyszedł? — zapytałem, sam dziwiąc się sobie, bo była jeszcze ciemna noc, około 5—6 nad ranem.

— Nikt tutaj nie był, bo i być już nie mógł! — z westchnieniem mruknął mój ordynans.

— Co ty tam wygadujesz?

— A nic. Szlichtadka się nie udała. Na Be-

rezynie załamał się lòd... Pierwsze i drugie sanki... Doktór utonął razem z tą piękną panienką, pan wie, co to...

— Ha?! Co?!.. zerwałem się już całkiem zbudzony. Lód się załamał?! Na dno poszli?!! Kiedyż to stało się, Boże!

— A o dziesiątej wieczorem, kiedy po tańcach wyruszyli kuligiem.

---

I otóż, moi panowie, tak się to smutnie skończyło. Wesołego Marszałka widziałem na własne oczy. Wyglądał zupełnie tak, jak na portrecie, z gwiazdą na piersi, wcale nie kotyljonową. Ustąpiłem mu nawet miejsca, co prawda z grzeczności, przez wzgląd na jego siwe włosy. Lecz to postaci rzeczy nie zmienia, jak i to również że doktór tak z punktu zaprzyjaźniwszy się na tamtym świecie z duchem Marszałka, namówił go, by przyszedł mnie postraszyć. Przegrałem zakład i basta.

Rzecz skończona.

Dodam tu jeszcze tylko, że w wielkim wstrząsie zgrozy na wieść o katastrofie, wobec szczerego żalu po stracie miłych osób, jedną z najpierwszych myśli, jakie przemknęły mi przez głowę, była:

— Jednakże miał ten człowiek zdumiewającą łatwość zawierania znajomości!

---

# Dzieje doży.

## I.

Diego del Astro nie figuruje w historji. A był to jeden z najdzielniejszych dożów Wenecji i gdyby nie przedwczesna śmierć, a raczej nagłe zniknięcie tego wielkiego człowieka, z pewnością rządy jego odbiłyby się pomyślnie na dalszych losach Rzeczypospolitej.

Wielki władca poprostu wypadł z dziejów. Podobne „wypadki“ przeoczenia zdarzają się kronikarzom.

I dzieje mają swego szatana, który ukrywa i plącze, mają swe czarnoksięstwa i figle, trudne do wytłumaczenia..

---

Dużym rozgłosem cieszył się w owym czasie w Wenecji pewien artysta, którego sztuka malarska szczególne miała znaczenie w życiu Diega. Był to człowiek młody, lubiany powszechnie i pełen nadzwyczajnych zdolności.

Przepowiadano mu świetną, równą Tycjanowskiej przyszłość. Podziwiano z zapałem jego niezwykłe, pełne werwy portrety, które malował zdumiewająco szybko. Obok świetnego talentu słynął z urody i ujmujących zalet charakteru. Obsypywany złotem, rozrzucał je bez troski o jutro, używał życia w pełni z całą lekkomyślnością promiennych natur, o których mówimy, że pod szczęśliwą rodzą się gwiazdą.

Lecz w samym początku tak pomyślnie otwierającej się karjery, zniknął nagle z oczu. Podobno wyjechał zagranicę. Mówiono jednak głucho, że jest ciągle w mieście, że zamyka się w pracowni i, nie dopuszczając do siebie nikogo, oddaje się jakimś tajemniczym badaniom...

Po kilkoletniej nieobecności, któregoś dnia malarz zjawił się znowu w Wenecji. Przypadło to na czas uroczystego objęcia rządów przez Diega.

Wszystkich uderzyły natychmiast wielkie zmiany, zaszłe w artyście. Nie był to już, jak przedtem, lekkomyślny młodzieniec, lecz człowiek zamknięty w sobie i skupiony i — jak dawniej uprzejmy i wesoły — tak teraz oschły i ponurego ducha. W surowych rysach jego twarzy pożółkłej i nad wiek postarzałej, błąkał się wyraz szyderstwa, w oczach kryła się zawiść i nieszczerość, a nad wszystkiem dominowało piętno skoncentrowanej woli i nienasyconej żądzy wielkości.

Gdy dowiedziano się o powrocie głośnego malarza, liczni ciekawi zaczęli odwiedzać pracownię i mistrz znowu malował portrety.

Ale przy pierwszych pracach, duża już, wyrobiona sława artysty, zaczęła się wahać i rozdwajać. Nie wszystkim teraz trafiały do przekonania jego obrazy. Jedni chwalili je więcej, niż uprzednio; lecz inni szydzili z jego sztuki. Ci utrzymywali, że talent zmarnował, że straciwszy zdolność bystrego przenikania subtelnych różnic w charakterach ludzi, pragnie wyzyskać dawny rozgłos, że stał się już tylko szarlatanem, umiejącym sprytnie wmawiać. A ponieważ sama istota sztuki opiera się, jak mniema ogół, na czemś tak nieuchwytnem, że przejrzeć i odczuć to mogą tylko wyjątkowe umysły, łatwo więc chytremu wyzyskiwaczowi udawało się obałamucać niektóre słabsze i bierniejsze głowy.

Istotnie portrety jego, mimo zadziwiającej swady technicznej, nie posiadały już właściwych sobie dawniej zalet podobieństwa. Nie były już to wizerunki wierne; i gorzej jeszcze, — bo przedstawiały jakby całkiem inne twarze. Ktoś spojrzawszy na świeżo ukończone, mające wyobrażać jego własną postać dzieło, dziwnego dostawał uczucia zawodu i niespodzianki, gdy zamiast siebie ujrzał na płótnie jakieś obce indywiduum. jakąś osobę w jego ubraniu, lecz z rysów i wyrazu tak od niego daleką, jak

Kleon od Peryklesa, lub Tersytes od Aleksandra Wielkiego. Następowało mimowolne wzruszenie ramion i niepewność, co z tym utworem znakomitego mistrza począć?...

Trudno było nie posądzić artysty o niewłaściwy żatr lub o niezupełne zdrowie umysłu... Skądinąd zresztą, jako dzieło sztuki, obraz był niezaprzeczenie świetnym. Kończyło się na tem, że przyjmowano portret.

Po pewnym jednak czasie zaczynano nabierać przychylniejszego o portrecie zdania. Zaczynano dopatrywać się w nim pewnych rysów prawdziwych, właściwego wyrazu i w końcu nie można było obrazowi nie przyznać uderzającej wierności z oryginałem. Następował podziw dla artysty. To już, mówiono, nie jest tylko wyborna podobizna tej osoby, — to jest ta sama osoba żywa, jakby utrwalona w lustrze i oprawna w ramy.

Tak w oczach ludzkich nabierał stopniowo portret żądanej treści i prawdy.

Osobliwość tę kładziono na karb niezwykłej głębi genjuszu, odsłaniającej się dopiero przy bardzo poważnem i długotrwałem wnikaniu w istotę dzieła i jego rodzaj.

Ci zaś, co nie mieli sposobności, by stwierdzić tę właściwość, zostawali przy swem pierwotnem, niepochlebnem dla malarza zdaniu.

II.

Wśród sporu, który wobec tak sprzecznych opinij wszczął się pomiędzy paru znawcami czy nieznawcami sztuki na temat dziwnych obrazów, przyszła komuś szczęśliwa myśl zaniesienia jednego z nich do Tycjana.

O Tycjanie mówiono, że ma w duszy słońce, którego tęczami i złotem zaprawia farby swej palety. Ciekawym był jasnowidzący sąd tego genjusza. Tycjan spochmurniał na widok przyniesionego obrazu i znać w nim było pewne zakłopotanie i niepokój, gdy mówił:

— Pocoście mi pokazali ten portret?... Nie mogę nie uznać talentu malarza, lecz nie mogę i wyrazić dlań uznania... Obecna dążność jego w sztuce jest tak różną od mojej, od tego wspólnego nam wszystkim mistrzom śmiertelnym usiłowania: naśladować realnie widome zjawiska, upraszczając je i przetwarzając zgodnie z naturą ducha i oka naszego, w celu wydobycia na jaw tego, co w życiu jest głębokiem i ukrytem, a przez to samo istotnem i nieśmiertelnem. Lecz tutaj widzę, że artysta inne, być może dalej idące, lecz tajemnicze postawił sobie zadanie, którego istoty ja przeniknąć nie mogę, a której — wolałbym nawet nie przenikać...

Być może, tkwi w tem jakiś genjusz straszliwy; lecz jabym nie chciał takiego posiadać...

Tu mistrz zamyślił się dłużej i po chwili wahania dodał:

— Jest jednak jakaś zastanawiająca w tym portrecie władza. Nie zauważyłem nigdy w sobie właściwej ludziom nerwowym skłonności do przejmowania się cudzemi wyrazami twarzy. Przeciwnie, dominowałem zwykle nad innymi własnym, sam posiadając pewien dar narzucania... Lecz teraz oto, gdy się dłużej wpatruję w tę twarz tak obcą dla mnie i tak kontrastowo od mojej różną, doznaję wrażenia, jak gdyby rysy me, wbrew mej woli, układały się w wyraz ten oto, który mam przed sobą na płótnie...

Tu odwrócił się mistrz, spojrzał w zwierciadło i, ściągnąwszy brwi, niecierpliwym ruchem odsunął obraz. Poczem skierował rozmowę na inny temat.

---

Była istotnie tajemnica w dziwnym talencie malarza. Portrety jego, wychodząc z pod pędzla zupełnie niepodobnemi, stawały się z czasem podobnemi nad wyraz. Można było przypuścić rzecz niesłychaną, że portret wskutek jakiejś wczarowanej w płótno nadnaturalnej mocy, z biegiem czasu, poza udziałem już pracy artysty, przekształcał się zwolna, zastosowując do rysów żyjącego wzoru, aż stawał się niezaprzeczenie wiernym...

W istocie jednak zachodziło coś jeszcze bardziej zdumiewającego. To nie portret się zmieniał, zbliżając do rysów oryginału, to zmieniał się żywy oryginał; człowiek, którego on miał być kopją, bezwiednie i mimowolnie sam upodobniał się portretowi. Zmiana ta zachodziła tak stopniowo, choć szybko, że ani sam przekształcający się człowiek, ani nikt z otoczenia, nie mógł spostrzec dziwnego przeobrażenia. Nadto, nie wiedzieć jakiemu przypisać to wpływowi, zarówno on sam jak i wszyscy inni, tracili jednocześnie pamięć uprzednich rysów jego twarzy.

O ile były portrety przez innych robione mistrzów, to te nie mogły świadczyć na niekorzyść malarza, gdyż chociaż przedtem uchodziły za dobre, teraz po przeinaczeniu się wzoru uważano je za chybione.

Nikomu więc nie przyszło i na myśl, by tego rodzaju wpływ na życie mieć mogła naśladownicza sztuka malarska.

Jeżeli czasem, po długiem rozstaniu, któryś znajomy lub krewny spotkał tak zmienionego człowieka, to, uderzony niespodzianką, wykrzykiwał przy powitaniu:

— Ależ mój drogi przyjacielu, lub — bracie kochany!... Oczom się wierzyć nie chce!... Że tak już teraz wyglądasz!... Jak to bóg czasu nas nielitościwie zmienia!...

Byłażby w pendzlu artysty jakaś pokrewna magji czasu władza, układająca oblicza ludzkie podług stałych i nieodmiennych schematów, których ostatecznym szczeblem i wyrazem jest nicość kościotrupa? Być może; lecz była w nim jeszcze inna groźniejsza, szybkością i efektem działania urągająca nawet Chronosowi siła.

Twarze osób lubianych malował piękniejszemi, niż były, skutkiem czego piękniały one w naturze. Malując nielubianych, czynił ich brzydszymi. A stopień szpetoty, jaki im nadawał, był miarą antypatji lub złego humoru mistrza. Wrogom wydłużał nosy, obniżał czoła, wysadzał szczęki zwierzęco, przerabiając ich z złośliwością całą na żywe, chodzące po ziemi karykatury. A wszystkie te zmiany zachodziły zwykle w przeciągu paru tygodni w tak tajemniczy i niedostrzegalny sposób, że człowiek, który dzięki złej woli malarza dostał garb lub stracił oko, był przekonany, jak i wszyscy, co go znali, że jest ułomnym od urodzenia,

Jeszcze dziwniejszem było to, że nikt ze skarykaturowanych przezeń ludzi nie odrzucił szyderczego portretu. Każdy stawał wobec niego, jak człowiek bez charakteru, nie mogący się zdobyć na czyn nieprzyjemny, lecz naturalny i słuszny, przyjmował portret, ulegając nieodpartemu wpływowi tego, jak mówiono, wyzyskiwacza i szarlatana lub straszliwego maga.

Zdawałoby się, że ów wielki, jedyny w swoim rodzaju talent, w połączeniu z potężnym sugestyjnym wpływem samej osoby artysty, musiałby przykuć uwagę świata daleko bardziej i jeszcze na dłużej, niż się to dzieje z dziełami najznakomitszych mistrzów. W rzeczywistości było inaczej. Narazie, sztuka jego uderzała, wprawiała w zdumienie i podziw. Lecz dziwnie prędko zaczynały ucichać zachwyty gorących wielbicieli i ustawały wzbudzone przez przeciwników spory. Każdy obraz z chwilą, gdy z nim się pogodzono i przyznano mu wysoką cechę genjalności, przestawał już zajmować, robił się obojętnym dla świata, jak gdyby na tem uznaniu kończyła się jego rola, jak gdyby już wykonał całe swoje zadanie—i zmartwiał.

A razem z tem i osobistość twórcy samego przestawała budzić zajęcie. Nie lubiano już go powszechnie, unikano i nawet zaczynano bać się...

Życie prowadził zamknięte. Nie używał już dziś rozkoszy swobodnej wesołości młodych, lecz nurzał się w wyuzdanych orgjach, trawiony żądzą demonicznych zbrodni. O pracowni jego opowiadano rzeczy straszne. Tam z pod podłogi rozlegały się czasem jęki. Mówiono, że piękne kobiety, które udało mu się do siebie zwabić, poprzepadały bez wieści... Ale nikomu nie przyszło na myśl poszukiwać w jego domu zaginionych ofiar...

## III.

Jednym z najzaciętszych przeciwników malarza był Diego. Doża nienawidził tego — jak mówił — warjata i oszusta, pozującego na mistrza, i niemiłosiernie wydrwiwał jego dzieła.

Lecz Diego miał kochankę, której kaprysom ulegała nawet i ta nieugięta i despotyczna natura. Była nią młoda i słynna z piękności kurtyzana. Uroczej Lucynie, po długich naleganiach, udało się skłonić Diegę, by właśnie temu, znienawidzonemu artyście, powierzył namalowanie jej portretu. Malarz podobał się pięknej kobiecie. Po pierwszem spotkaniu się poczuła ku niemu nieprzeparty pociąg. I kurtyzana stała się gorliwą protektorką sztuki malarza, któremu już zaczynało zwolenników braknąć...

Zawezwany przez Diegę, zjawił się pokorny, układny i z całym spokojem odpowiadając na lekceważące traktowanie władcy, z uśmiechem zabrał się do pracy.

Gdy portret był już skończony, mistrz umieścił go w świetle właściwem i czekał na przybycie doży. Tymczasem Lucyna, niema ze zdziwienia, stała obok ze wzrokiem utkwionym w sztalugi.

Diego się zbliżył, rzucił okiem na obraz i z gestem najwyższego oburzenia splunął:

— Ależ to Gorgo! Parka stuwieczna! A nie

ta słodka Lucyna! Jędzę zrobiłeś ze świeżej, jak wiosna, bogini!... Warjacie! — wołał — mam zdrowe oczy i rozum i nie dam sobie szarlatanom wmawiać!...

Wypędził malarza i kazał za nim wyrzucić jego potworny obraz.

Pierwszy raz takie przyjęcie spotkało artystę. Zniósł to w milczeniu, tylko złowrogi uśmiech zapowiadał, że nie przebaczy strasznej obelgi.

Gdy odszedł, zastanawiał się doża, dlaczego tak względnie łagodnie postąpił z zuchwalcem, który na daleko surowsze skarcenie zasłużył swą bezczelną drwiną.

---

Tymczasem malarz, wracając do domu, obmyślał zemstę. Z początku przyszła mu myśl skarykaturowania doży tak złośliwie, jak jeszcze dotąd nie skarykaturował żadnego ze swych najzaciętszych wrogów. Lecz — myślał — Diego jest i w naturze niesłychanie brzydkim, jeśli go bardziej zeszpecę, doda mu to tylko uroku w oczach gawiedzi, jeszcze się głębiej, dzięki szpetocie, postać tyrana wryje w pamięć dziecinnego tłumu. Lecz — rozmyślał dalej — nazywają go wielkim... Cha!... cha!... cha!... zaśmiał się z dziką radością — zrobię go małym!...

Wybrawszy kawałek drewnianej deszczułki, wielkości dukata, oszlifował ją starannie — i przez

kilka dni następnych wychodził codzień na miasto w godzinach, gdy doża zwykł ukazywać się publicznie. Przyglądał mu się przez czas jakiś, a potem, wróciwszy do siebie, zasiadał do malowania jego minjatury.

Raz zauważył Diego, że malarz przypatruje mu się z ukrycia.

— Ha! cóż ty teraz, djable, malujesz?! — zawołał szyderczo.

— Ruiny — skłonił się artysta — któremi, jak pochlebiam sobie, zyskam uznanie wielkiego doży Wyrzekł to z takiem brzmieniem głosu, że Diego mimowolnie zadrżał...

Doża miał zawsze wstręt i pogardę dla tego złego człowieka. Lecz ostatniemi czasy na samą myśl o nim zaczynał doznawać strachu. Dziwił się, że i teraz nie rozkazał go schwytać i uwięzić za odpowiedź, która wydała mu się zuchwałą groźbą.

Czyżby jego bezwzględną stanowczość magnetyzował, pogrążał w bezwład ten szatan?!

Tu już władca poprzysiągł sobie niezwłocznie skończyć z człowiekiem, będącym zmorą jego i grozą. Lecz mimo silnego postanowienia zwlekał — i coraz większa ogarniała go przed tym szydercą trwoga.

## IV.

Minjatura już była gotowa. Przedstawiała portret doży w pełnej postaci, cały wielkości zwykłego chrabąszcza.

Rzadko już bardzo zaglądali klienci do ponurej pracowni tajemniczego mistrza. Jedyną osobą stale tam krzątającą się, był wyrostek niemowa, służący do posyłek i tarcia farb. A od czasu do czasu pojawiała się Lucyna, niedawno tak piękna i młoda, a dzisiaj stara i jak parka szpetna. Porzucona przez dożę, udała się do artysty w nadziei, że tam pozyska miłość i przytułek. Lecz malarz niewzruszony szydził z niej bezlitośnie, a jeśli ją wpuszczał do siebie, to tylko dlatego, że sprawiało mu przyjemność widzieć na tej zmienionej twarzy dowód, jak działa jego czarnoksięska sztuka.

Tymczasem coś dziwnego zachodziło z dożą. Potężny umysł jego wyraźnie tracił swą sprężystość; serce kurczyło się, coraz to skąpiej zasilane sokami życia. Nerwy ściągały się i skracały, skupiając wewnątrz z niepojętą siłą i jakby stłaczając w niewidzialnych prasach całą zewnętrzną tęgość jego budowy. Wszystko to razem czyniło wrażenie pewnego przygarbienia i osunięcia się, właściwego ludziom zaczynającym się starzeć.

Już w tydzień po ukończeniu minjatury, wysoka postać władcy uległa znacznej zmianie. On, który (pozwolimy sobie zaczerpnąć porównań z dowolnej epoki) miał wzrost Piotra Rosyjskiego, dorównywał już teraz wyglądem zaledwo Napoleonowi Wielkiemu i stopniowo zaczynał się zniżać do Władysława Łokietka...

Lecz zarówno jak on sam, tak i nikt z jego otoczenia nie dostrzegał tej tajemniczej przemiany wielkości. Wszystkim się zdawało, że del Astro wcale nigdy nie był dwumetrowym olbrzymem, lecz że zawsze wyglądał tylko jak Łokietek.

Że zachodzącej równolegle z tem obniżaniem się wzrostu, podobnejże zmiany wewnętrznej, t. j. karłowacenia duszy, nie dostrzegł w sobie sam władca, temu się można nie dziwić: to cecha wszystkich zaczynających duchowo maleć... Nawet i ogół nie widzi zazwyczaj tego wewnętrznego marnienia w osobach swych panujących. Lecz dla zmian zewnętrznych, w cielesnej budowie, ogół miewa wzrok ostry i pamięć dobitną.

Tak demoniczna potęga sztuki straszliwego malarza zdołała paraliżować uwagę nawet wielotysięcznych tłumów. Nikt ani się domyślał, że tu zachodzi zmiana, biorąc ciągle następstwa za trwały stan uprzedni...

---

Doża pracował samotnie w jednej z dużych sal bibljotecznych swego wspaniałego pałacu. Nikomu nie wolno było bez zawezwania tam wchodzić.

I teraz zagłębiony w badaniu map, rozłożonych na szerokim stole, siedział władca w wygodnym, bogato rzeźbionym fotelu.

Już był to karzeł zupełny...

Nie spostrzegł wcale, że jego stopy, zwisające z siedzenia dalekie są od dotykania podłogi... Nie spostrzegł tego zupełnie i nie czuł nawet, że z każdą chwilą staje się coraz mniejszym...

Był już tak drobnym, że nie mógłby nawet zleźć z krzesła; lecz zajęty pracą, nie zastanawiał się nad tem. Nareszcie spostrzegł, że nie potrafi wykonać zwykłego ruchu wstania i pójścia po posadzce... Możliwszem okazało się — wskoczyć na stół. Co też uczyniwszy, chciał coś zanotować na planach — zdziwił się bardzo, że musi ująć pióro oburącz; a kiedy chciał zanurzyć je w atramencie, z przerażeniem widział, że nie potrafi tego dokonać, nie wszedłszy na jakiś wyższy przedmiot. Musiał więc wskoczyć na najbliższą, znajdującą się przy ścianie, tuż ponad stołem, półkę z dokumentami...

Już ledwo wzrostem dorównywał kałamarzowi. Trudno się kusić o opisanie wrażeń biednego dożyt miotała nim rozpacz, strach, przerażenie... Nie rozumiał zupełnie, co się z nim stało... jak we śnie, nie kontrolując umysłem dziwnego swego położenia.

Nieświadomy faktu, że jest tak niesłychanie małym, czuł tylko, że nie uda mu się zejść na dół z półki, na której się znajdował. W skoku tak ryzykownym mógłby połamać sobie nogi... Łatwiej było piąć się do góry: w subtelnych już te-

raz — jak u owadu — członkach jego zjawiła się zdolność łażenia po ścianie. Dzięki mikroskopijnej drobności kończyn czepiał się niedostrzegalnych dla oka ludzkiego, nierówności, spowodowanych przez pory w drzewie. Piął się ku coraz wyższym przedziałkom, snuł się po nich, jak mucha, szperał po notatkach i wreszcie dotarł do miejsca, gdzie się zaczynały bibljoteczne szafy. Tam oto, zalazłszy w szafy z książkami, chodził to tu, to ówdzie, jak po lesie, błąkając się między ogromnemi tomami; z ich szpar majaczyły złowrogo czarne potwory liter i gdzie niegdzie wężowym skrętem wyzierał straszny, czerwony smok inicjału.. Władca nasz tułał się po starych pergaminach, po różnego rodzaju zmurszałych aktach, zupełnie nie zdając już sobie sprawy z tego, co robi i gdzie się znajduje. Nareszcie stanął na szczycie jakiejś zakurzonej kroniki. Obejrzał się dookoła: pokój bibljoteczny wydał mu się olbrzymim, jak świat, i pustym, jak bezmiary, a szpargały, po których łaził, co najmniej wielkości Apeninów... Gdy spojrzał wdół, jak gdyby patrzył z piramidy... Był tak wysoko, że doznał choroby wyżyn — i spadł, jak w przepaść w szczelinę, pomiędzy foljały...

Obezwładniony upadkiem, leżał bez przytomności, gdy naraz jakieś głosy złowrogie uderzyły słuch jego. Zwierzęta, których dawniej się nie lękał, zbliżały się szybko i groźnie, zbiegając po

szafach z piskiem i łomotem. Ten pisk go tak przeraził — był dlań rykiem ogromnym... Dziś w wyobraźni bezbronnego potentata myszy wyglądały tak groźnie, jak dziki lub niedźwiedzie... Oto ukazały się i wpadły drapieżne... A tymczasem — powoli — z potężnej sieci powrozów spuszczał się z góry, po cichu, olbrzymi, ciemny potwór sześcioręki, żarłoczny wzrok utkwiwszy w nieszczęśliwą ofiarę...

W tej samej chwili, gdy doża ginął śmiercią tragiczną, stał się wypadek, który poruszył całe miasto.

Wspaniały pałac jego zatrząsł się nagle w posadach i jakby gromem podcięty, runął.

## V.

Malarz siedział w pracowni i z zadowoleniem przyglądał się jakiejś swej świeżo ukończonej pracy, gdy nagle drzwi się otworzyły i wpadła zdyszana Lucyna. Ujrzawszy ją, szybkim ruchem przystawił do ściany i zasłonił kotarą rozpatrywany obraz.

— Słyszałeś, co się dzieje? — zawołała. — Pałac doży się zapadł i pod gruzami zagrzebał władcę. Okropne zniszczenie! Sam gruz i zwaliska!

Usta malarza wykrzywiły się wyrazem trudnym do określenia,

— Lecz jakże ja teraz jestem nieszczęśliwą! Słuchaj! — zaczęła błagać — ty mnie już teraz

nie odtrącisz. Po śmierci doży czeka mię nędza zupełna. Nie będę miała już i tej skromnej pensji, którą mi dawał z łaski. Ty jesteś samotny, zamieszkam u ciebie, będę ci służyła, byleby tylko być z tobą, mistrzu! Nie odtrącaj mnie! Zobacz, nie jestem przecie tak brzydką i starą, jaką chcą ludzie mnie widzieć... Tu wskazała na twarz swą, pokrytą warstwą kosmetyków, napróżno usiłujących zakryć szpetotę zmarszczek i wykrzywień,

Malarz obojętnie wzruszył ramionami.

— Tak?! — krzyknęła nerwowo i szybko podbiegłszy do ściany, odsłoniła ukrywany przed nią obraz. — Tak?... domyślałam się... To ty jesteś tym sprawcą! Ty jesteś tym strasznym zbrodniarzem!

Obraz przedstawiał zwaliska pałacu doży; te same gruzy, o których przed chwilą mówiła, ujrzała tu namalowanemi z uderzającą dokładnością.

Myśl jasna, jak piorun, przemknęła jej po głowie...

— Ty przyczyną tego wszystkiego! Idę natychmiast i rozgłoszę po mieście!...

— Prawda — rzekł malarz spokojnie — masz zupełną słuszność. To ja zniszczyłem dożę i jego świetny pałac zamieniłem w gruzy. Co więcej — ja znicestwiłem twą piękność, z uroczego dziewczęcia zrobiwszy ohydną, starą jędzę. A to wszystko potęgą mego malarskiego talentu... Lecz uczyniłem to przez miłość dla ciebie, Lucyno! Zeszpe-

ciłem cię, by cię wydrzeć temu człowiekowi i teraz, gdy on już nie żyje, zjawia się dla nas obojga możność szczęścia. Jestem w stanie wrócić ci dawną młodość i urodę. Usiądź — oto przygotowane płótno — a namaluję cię jeszcze piękniejszą niż byłaś. Staniesz się Venus zorzanolicą! Usiądź!...

Kobieta wahała sią chwilę, lecz prędko dała się namówić — i rozpromieniona wszedłszy na podjum, podług wskazówek mistrza przybierała pozę.

Mistrz odszedł ku stalugom i wykonał jakiś ruch dziwny, poczem spojrzał na nią. — Szyderczy, trupi uśmiech ust jego zmroził ją i przeraził; jednocześnie poczuła, że ziemia się pod nią osuwa. Chciała się zerwać z siedzenia, ale już było za późno... W mgnieniu oka zapadło się podjum pod podłogę — ostry krzyk rozległ się krótko i zagłuchł w głębi otworu.

Za parę chwil wróciło znów podjum na swe zwykłe miejsce; na niem stało to samo krzesło złocone, ale już puste.

Malarz tymczasem przysunął do stalug zwierciadło i długo przypatrywał się własnej twarzy. Następnie wziął pędzle i paletę i zaczął malować.

Mówiliśmy, że w miarę, jak wzrastała złowroga siła jego sztuki, artysta tracił rozgłos. Teraz już nawet wcale o nim nie mówiono. Portrety jego, imię i pracownia, poszły w niepamięć. Przyszła mu widocznie myśl przekazania potomności,

chociażby wspomnienia o sobie portretem własnym, który zamierzył wykonać z całą wiernością i realizmem prawdy.

Szybko warstwami farb wypełniało się płótno Coraz wyraźniej wynurzała się twarz i cała postać mistrza. Ale w jakiejże formie?!...

Niemowa wszedł z supełkiem, z którego wydostał jakieś przybory malarskie. Wiedziony ciekawością stanął za plecami pana swego i przyglądał się obrazowi...

Lecz oczom swoim nie wierzył...

Niespokojnemi gestami zapytał, co ma przedstawiać malowane dzieło?

Malarz wytłumaczył mu również na migi, że robi swój portret.

Chłopak powlókł obłędnym wzrokiem po płótnie i po swym panu, postał czas jakiś, nie rozumiejąc nic zgoła — lecz wreszcie twarz jego przybrała wyraz zgrozy; chwycił się nagle za głowę i, wydawszy dziki okrzyk głuchoniemego — wybiegł.

A malarz niewzruszony wykończał dalej swe dzieło.

Niemowa nie wracał. Przez wiele dni nikt nie zaglądał do pracowni, a malarz nie pokazywał się wcale. Zaniepokojony gospodarz zapukał w końcu do drzwi pracowni. Nie dostał odpowiedzi, — drzwi były zamknięte od wewnątrz.

Gdy zawezwane władze wyłamały je, przedstawiła się oczom rzecz straszna:

Na wysychającym już prawie obrazie, umieszczonym na sztalugach, ujrzano straszliwy, odrażający wizerunek trupa siedzącego, a raczej osuniętego w fotelu, już w stanie rozkładu, oddany z całą realistyczną grozą dokładności.

A tuż naprzeciw malowidła, w tej samej pozie tak samo na pół już zgniłe i zsunięte, siedziały zwłoki strasznego człowieka, łudząco do portretu podobne. Sztywna ręka trzymała jeszcze pendzle; pęknięta na dwoje paleta leżała na ziemi.

Obok stało lustro, które, odzwierciadlając tych dwóch umarłych, czyniło efekt tak dziwny, iż nie można było odróżnić, który jest istotnym, a który namalowanym.

Tylko że na portrecie u dołu był niewyraźny, jakby ręką już sztywną nakreślony napis:

*Magia... materia... mors...*

---

# Pogańska Ofiara.

Nieopodal Wąsowy, nad rzeką Żmyrą leżała wieś Michnyczanka, a nieco dalej Kałabuza. Obie te wioski o jednakowo bielonych chałupach, krytych słomą, unikających możliwie cienia drzew i zieloności sadów, z jednakowo błotnistą ulicą, która wzdłuż chat biegła, a stanowiła właściwie najgorszy kawałek traktu, były podobne do siebie, jak dwie rodzone siostry.

A obie były ładne na swoisty sposób. Były dosyć ludne i gwarne, a dodajmy nawiasem, że nawet dosyć szczęśliwe.

Działo się bowiem to za owych jeszcze niezłych czasów dawnej Rzeczypospolitej, gdy ciężary pańszczyzny nie były tak potworne, jak tego chcą koniecznie nasi „przyjaciele". Tem bardziej że znana magnatka już była podówczas układała plan uwłaszczenia chłopów i pisała statut, ażeby, darząc lud wolnością, obdarzyć go jednocześnie i prawem,

Do każdej z obu wiosek przylegały pola, dosyć średnio uprawne, dalej szły łąki i bagna, a jeszcze dalej czerniały lasy i bory, zamykające ze wszystkich stron widnokrąg.

Ludność z usposobienia daleka od „hajdamackiego rozmachu", bo jeszcze tam był rzadko docierał hulaszczy wiatr od wschodu, ciemna, ale nie dzika, ceniła przedewszystkiem spokój i stare praojcowskie zwyczaje.—Zwyczaje te sięgały pewnie jeszcze głębiej w czasy, niż starożytne stroje z samodziału, odziedziczone po dziadkach i prapradziadkach, w których paradowano tylko w wielkie święta. Na codzień bowiem noszono szare brudne switki i rude osmolone kożuchy.

Wspólne jednak tradycje i zamiłowania nie decydują koniecznie o tożsamości pojęć. I te dwie siostry, tak jednoczone przez lasy, dzieliła różnica przekonań w jednej zasadniczej kwestji. W kwestji znaczenia i wpływu na sprowadzanie deszczu w Kałabuzie wierzono w piękne dziewczęta, w Michnyczance w znachora. Poza tem dzieliła je od siebie już chyba tylko Żmyra, rzeka nie duża i niezbyt spławna, lecz czasem taka srebrna, zwłaszcza o wczesnym świcie, że aż ogarniało zdumienie na głuchą wiadomość, iż takie jasne wody spływają gdzieś, co prawda bardzo daleko, do Czarnego Morza.

W Michnyczance za najurodziwsze uchodziły dwie chwackie dziewuchy.

Kulinie, hożej szatynce o pięknych szarych oczach, nie zbywało szczególniej na adoratorach. Sama też trochę dostępna, ba nawet wyzywająca, nie odstraszała od siebie swawolnych zalotników; nadeptywali też jej, rzec można, na pięty przy każdej sposobności. Kto żyw starał się ją potrącić, uszczypnąć łokieć lub objąć wpół, gdy się uda, choćby na oczach wszystkich. Takie to już panowały pojęcia o flircie w owych czasach, w owem środowisku. Lecz piękna umiała sobie radzić z chłopcami; zgrabnie, z wesołym śmiechem wywijała się zawsze zwycięska i triumfująca.

Sonka natomiast, wiotkie i rzewne dziewczę, o wykwintnym profilu i delikatnych rysach, budziła onieśmielenie w niesfornej rzeszy parobków. Nazywano ją „panną", nie „dziewką", jak jej towarzyszki... I starsi ludzie, to słysząc, wpadali niekiedy w zadumę nad zagadką pochodzenia.

W niedalekiem bowiem sąsiedztwie znajdował się dwór, dom niezbyt pańskiego wyglądu i raczej do dużej chałupy podobny, nazywany jednak „pałacem" przez całą okolicę. Była to stara siedziba możnych Siekierowiczów. Siekierowicze zaś mieli być, jak o tem głosiło podanie, mętne jak wszelkie podania, właściwymi założycielami tych dwóch pięknych wiosek. Słynęli od wieków

z mężczyzn dużego wzrostu (podobnie jak chłopi z Michnyczanki i Kołabuzy), i z tego jeszcze słynęli, że jak od wieków nie gdzie indziej jeździli na tańce i pohulanki... A jak Siekierowicze naogół byli drągalami, tak samo Siekierowiczanki słynęły z wiotkiej budowy, wykwintnych rysów twarzy i delikatnej cery... Ba!.. Starożytni rzymianie też byli naogół podobni do Romulusa i Remusa, a starożytne rzymianki przypominały profile porwanych ongiś Sabinek.

Kto jak kto, ale kowal Mikoła najtęższy chłopak w Michnyczance mógłby się śmiało pochlubić półboskiem pochodzeniem! Mikoła był może jedynym w wiosce mołojcem, który zachowywał się z pewną względem Kuliny rezerwą. Pokręcał wprawdzie wąsa, dostrzegłszy ją zdaleka, lecz wymijając poważniał, kłaniał się z godnością i dalej szedł, nie oglądając się poza siebie. Ta dostojna powaga nie mogła nie wywrzeć pewnego wrażenia na pięknem i znudzonem powszechnem powodzeniem dziewczęciu; a siłę tego wrażenia potęgowało to jeszcze, iż wiedziała, że kowal tak dla niej zimny w zalotach, umizgał się do starego Hypki, jej ojca, i nawet dawał staremu do zrozumienia, że radby się ożenił z jego jedynaczką.

Lecz Hypko kręcił głową i milczał, gęste puszczając dymy z swej czarnej jak węgiel fajki.

Ale czyż to tylko kowal ubiegał się o tę dziewkę?

Pół wsi nadskakiwało staremu rodzicowi, pół bowiem wsi szalało za Kuliną.

Hypko przyjmował gorące hołdy z powagą lecz pozostawał zimny, jak figa berberyjska. Nie upatrzył dotychczas odpowiedniej partji. A jeżeli który z konkurentów budził w nim niejakie zajęcie, nie był to żaden młokos. Był to Żmych, znachor miejscowy, człowiek stateczny, nawet szpakowaty, a przytem szanowany powszechnie. Żmych imponował Hypkowi swoją uczonością i stosunkami w świecie, oczywiście „tamtym", dzięki czemu mógł wróżyć, niczem najbrzydsza z cyganek, leczyć zaklinaniem, ułatwiać babom porody, a nawet wpływać poniekąd na urodzaj zboża. Miał w oczach starca jeszcze tę wielką zaletę, że ciułał grosze i dawał na procenty. O tem, że przy tych cnotach Żmych był, jak się to mówi, amatorem kwaśnych jabłek, że bałamucił dziewczęta i bodaj nie jedną skrzywdził, — o tem Hypko nie wiedział i nie uwierzyłby temu.

Od roku już blisko zalecał się znachor do do Hypkówny, lecz ta go unikała widocznie.

Uciekał się do rozmaitych sposobów, używał różnych sztuczek, których nie zna młodzież, a które praktykują ze skutkiem ludzie ustatkowani, puszczał w ruch nawet, powiadają, gusła, pragnąc wywołać wzajemność, ale wszystko na nic. Widocznie nie był jeszcze w tak bliskiej komitywie

z duchami, jak o tem mniemano w Michnyczance. —

Ostatnio wszakże, czując za sobą poparcie rodzica, zbliżył się śmiało do panny przy pierwsze lepszej okazji.

— Słuchaj, Kulino, rzekł, czy ci się podobają takie koraliki? Co? Ładne? A sznur, patrz, jaki długi, prawie dwa łokcie!...

To mówiąc, pokazywał jej koralowy naszyjnik, który przed chwilą ostrożnie był wydostał z zanadrza.

Dziewczę zerknęło okiem na korale zrozumiałego podziwu.

— Czy chciałabyś je mieć?... O widzę, żebyś chciała. To weź je sobie. Ja daję. Tylko bądź zato dla mnie trochę lepszą.

Oddała ze smutkiem korale, odwróciła się i westchnęła. Przyszedł jej na myśl kowal.

— No, weź, tak na pamiątkę. Ja niczego nie żądam.

— Nie trzeba mi twoich klejnotów, odparła lakonicznie.

— Nie dosyć piękne dla ciebie, nie dosyć bogate, mruknął krzywiąc usta. Nie dziwię się, dla takiej panny piękniejsze rzeczy znajdą się w moim domu. Ty nie wiesz, chwalił się, jakie ja mam skarby, wszystko to na ciebie w skrzyniach czeka! Ech! co tam skarby, ciągnął, ja gusła znam. Mogę cię zaczarować, zmusić do czego

tylko zechcę, — zmusić do pokochania mnie jednego na świecie! Tak! Ale tego nie robię, bo to zdrowiu szkodzi... Widzisz, jaki jestem! Szkoda mi nawet twej panieńskiej duszy, choć ona przecież nikomu, prócz popów, niepotrzebna.

Jestem czarownik, rozumiesz, dobry czarownik, co na krzywdę ludzką nie dybie, jeno dobrego chce! Znam się z jasnemi duchami, i te mi taką moc dały, że mogę rozrządzać wiatrami do woli. Zechcę — to będzie burza; zechcę — to będzie pogoda. —

— Jeżeliś taki władny, to sprowadź trochę dżdżu, bo jakoś już przydługo go nie mamy, odpowiedziała — A mnie przestań nudzić.

— Sprowadzę! Sprowadzę! Ale co za to dostanę?

— Nic.

— No to nie sprowadzę! — obruszył się. — Niech słońce wszystko wypali do szczętu, niech przyjdzie nieurodzaj i głód, oj głód straszny — ja nawet palcem nie kiwnę, jeżeli moją być nie zechcesz.

— Posłuchaj, ty czarowniku! — Gdyby nawet spłonęła cała ziemia od znoju, i Żmyra wyschła aż do dna; gdyby zabrakło kropli rosy dla kwiatów, — ja umierałabym z pragnienia, a tyś miał pełną studnię — i wtedy wolałabym śmierć, niż ciebie z twojemi skarbami.

To rzekłszy, odwróciła się i pobiegła ku zaroślom, bo tam jej się zdawało, że mignął cień Mikoły. Znachor jakkolwiek dotknięty tą odmową nie stracił jednak nadziei. Znał z gruntu serce kobiece i wiedział, że w tej świątyni idealnego cynizmu, na szali czułych wyroków, nie dziś to jutro zaważy więcej funt złota, niż pud niebieskich migdałów.

---

Tymczasem potrzeba deszczu stawała się coraz widoczniejsza. Upał się zwiększał z dniem każdym. Powietrze nieruchomiało. Już pola dobrze zielone poczęły płowieć, liście na drzewach żółkły... Więdły warzywa, i nawet szum leśny stawał się jakimś innym bezdźwięcznym, co z trwogą podchwytywało przesądne ucho wieśniaka. Na ulicach Michnyczanki nie było już śladu błota, z nad traktu ciągnął kurz i bujał nad wioskami. Bagna, ak gdyby chudły, dymiły torfowiska, a tam daleko, daleko, i z tej i owej strony, nad smugami widnokręgu, oko dostrzegało małe złowieszcze dymki, i nozdrza chwytały zapach smalenizny. To paliły się lasy od spiekoty słońca.

W Żmyrze spadała woda w zatrważający sposób. Mówiono, że ją „wykąpują" baby, gdyż cały dzień, jak kaczki, się moczyły. Głupie pozwalały sobie na tą przyjemność, w chwili gdy

każda kropla wilgoci stawała się droższą od złota. Starszyzna oburzona surowo wzbroniła kąpieli. Ale ktoby tam słuchał w upały podobnych rozporządzeń!...

Ojcowie wioski, widząc, że się zanosi na klęskę, zebrali się gromadnie całym aeropagiem. Do rady wezwano znachora, jako rzeczoznawcę.

Ale Żmych ostatniemi czasy był w bardzo złym humorze. Bo trzeba wiedzieć że pomimo całej swej uczoności, doświadczenia lat i znajomości guseł, nie szło mu jakoś z Kuliną. Jego „uczone“ sposoby brania się do rzeczy nie odnosiły skutku. Więc postanowił spróbować metody nieuczonej, stosowanej przez lekkomyślną młodzież, czyli „wziąć“ dziewkę wręcz temperamentem. Ale gdy raz w natłoku za przykładem innych, pozwolił sobie ją zaczepić no nie tak znowu mocno, ledwo że uszczypnąć, to ona mu w odwecie wymierzyła takiego tęgiego szturchańca, że już nie mogło być mowy o ponawianiu próby. Tając więc w sercu urazę, obmyślał zemstę, zemstę okrutną, jak najokrutniejszą. Najokrutniejszą rzeczą, jak wiemy z licznych wojen, czasami bywa neutralność. Rozumiejąc to, znachor powziął nieludzki zamiar nic przeciw klęsce nie radzić.

„A mnie co to obchodzi, medytował w duszy, niech sobie ludzie mrą z głodu, jak ona zacznie przymierać, wtedy zaśpiewa inaczej. Ja mam tyle

złota, że chleba mi nigdy nie zabraknie.“ To też na zgromadzeniu, umył ręce, jak Piłat.

— Nie wiem, mówił, nie wiem, co robić... Bo to jest taka sprawa... że z gniewem Bożym wadzić się nie sposób. Ech! zwróćcie się do popa. Ja tu nic nie mogę.

Na to archonci wioskowi pokiwali poważnie głowami i jednocześnie orzekli:

— Trza tak zrobić, jak radzi. Boć to i zawsze najlepiej zaczynać od Pana Boga.

— To nawet taniej kosztuje, niż djabelska pomoc, zaopinjował najstarszy z gromady.

Pop, który właśnie w sam raz się nawinął, przyrzekł swe wstawiennictwo, zaznaczając przytem, że to za ich ciężkie grzechy niebo zesłało tę klęskę.

— Trzeba mszę codzień odprawiać, rzekł, aż póki deszcz nie spadnie. No i musicie regularnie płacić...

Oczywiście!

Lecz grzechy Michnyczanki były zapewne jeszcze cięższe, niż o tem nawet pop wiedział. Posucha przybierała coraz groźniejsze rozmiary. Że niebo z czasem się zmiłuje, nie było wątpliwości, ale potrzeba nagliła.

Więc znów zebrawszy się do kupy, zacni ojcowie wioski, już teraz sami bez popa i znachora, zaczęli radzić z powagą nad zażegnaniem klęski.

— Nim pop się czego domodli, można długo czekać, — zagaił przewodniczący. A czas już wielki... —

— Tak, czas już wielki... potakiwano chórem.

— Tak, czas już nam się zabrać do „orania wody". —

---

Zwyczaj orania wody starszy od chrześcijaństwa, dziś jeszcze w zakątkach Rusi bywa praktykowany. A w owych czasach powszechnem cieszył się uznaniem, szczególniej zresztą do gustu przypadając babom, które dzięki niemu przynajmniej raz w życiu, przy nieurodzajach, miały sposobność odegrania głównej roli w publicznych ceremonjach. To one brały w ręce ster tej ważnej sprawy, wynosząc się poniekąd do godności dawnych pogańskich kapłanów.

Mężczyzni nie mieli tu nic do robienia i może w duchu byli radzi, że nie przykładają rąk do tej roboty...

---

Przyszło południe, najupalniejsze w lecie. Wszystko w naturze, rzec można, było już suchsze od prochu — (wszystko co należało do gramatycznej kategorji — istot nieożywionych)! Istoty ożywione ginęły z braku wilgoci.

Bydło osłabłe nadrabiało bokami. — Psy opieszale się wlokły, wywalając języki, zagrożone szaleństwem od strasznej „kanikuły". — A rodzaj ludzki leniwie z chat wyłaził i ciągnął na brzeg Żmyry. gdzie wreszcie, malownicze utworzywszy grupy — zaczął ospale gapić się na wodę. —

A tam na rzece, w dole, na samym środku Żmyry odsłaniał się jej oczom widok istotnie osobliwy.

Dwie stare baby wiejskie, podkasawszy spódnice aż po same kłęby, z powagą olimpijską broczyły wolno brodem, w górę rzeki, wlokąc za sobą sochę po powierzchni wody. Głowy miały spuszczone, twarze ich wyrażały skupienie, właściwe wołom pracującym na roli. Włosy rozwiane, to jest, rozkosmyczone u jednej, u drugiej kołtuniące się ciężko, błyszczały w słońcu jaskrawo białem srebrem. Za niemi szła trzecia baba, nie mniej od tamtych zgrzybiała i prawie zupełnie łysa; ta, podtrzymując sochę udawała oracza.

— Wio, wykrzykiwała przeciągle, wykręcając batem.

O dziesięć kroków za niemi, podążała druga podobna trójka. A dalej trzecia i czwarta. Wszystkich zaś było siedem, co stanowiło zapowiedź siedmiu lat urodzajnych.

— Wio! wio!.. rozlegały się głosy, mdlejące ze znużenia.

— Wio!

Procesja trwała dobrą godzinę, bo droga nie była krótka i praca nie tak znów łatwa, jakby się zdawało: brnąć tak rzeką przeciw prądowi, co najmniej przez pół wiorsty w szalone gorąco i do tego jeszcze zachowując przepisy uciążliwego rytuału, to nie fraszka.

Nareszcie dumne i mokre wypełzły na brzeg kapłanki i wracały do wioski, owacyjnie odprowadzane przez tłumy.

Niestety, minął dzień, minął drugi i trzeci, bez żadnej zmiany w atmosferze. Kapłankom miny zrzedły...

— Za słabo się pracowało!...

— Nie wyorano ni kropli!...

— Cóż! trzeba jeszcze poorać?...

Inaczej myślała starszyzna — była ona przeciwna ponawianiu próby. Widocznie już tak nie wiele zostało w rzecze wody, że nic z niej się nie da wyorać!..

Miano też jeszcze w zanadrzu jeden zbawienny środek. Środek zupełnie niezawodny, ale nie bardzo przyjemny... To też go stosowano niechętnie i tylko w krytycznej chwili. A chwila krytyczna nadeszła. Oj, dawno nadeszła. Głód groził, głód! Co tu gadać.

Już nawet stary Hypko, najzamożniejszy w całej wsi gospodarz, zafrasował się nieco.

— Co to z tego będzie? mruknął, patrząc w pole.

I wiedział, że nic dobrego nie będzie. Wszystko wróżyło źle i jak najgorzej. A rzecz szczególna młodzież nigdy się tak nie bawiła, tak płocho i szalenie, jak właśnie w tych dniach trwożnych przed złowrogiem jutrem. Nigdy, jak spamiętać, nie dochodziły z majdanów takie wesołe śpiewy, takie tupoty pląsów i piski, i śmiechy swywolne. Hulano całemi nocami; hulano bez pamięci aż do samego ranka. Nie wyglądało to na dobrą przepowiednię... Wielka wesołość poprzedza wielkie nieszczęścia. Zresztą na ziemi i na niebie, wszędzie na każdym kroku, umiano już spostrzegać tylko złowróżbne znaki.

— Niema rady! zawyrokowała nareszcie, baczna na wszystko, starszyzna. Konieczna jest ofiara.

— I krwawa, podchwycił znachor, który się znalazł w porę, choć nie był zaproszony.

— Do tej ofiary, wykładał, potrzebne są dwie najładniejsze dziewki z okolicy, a gdy jest więcej ładnych, to i więcej można... tem lepiej poskutkuje!

To mówiąc, chciwie zerknął na blednącą Kulinę i nie mniej od niej zaniepojoną Sonkę, gdy jednocześnie parę innych dziewcząt z pogardą pokazywało mu języki.

Nastąpiła chwila głębokiego milczenia. Potem

głos zabrał najstarszy z gromady, chrząknąwszy parokrotnie z wielkiem namaszczeniem:

— Tak, to tak. Ale jak zgadnąć, która najładniejsza? W tem sęk. Ja stary już nawet nie pamiętam, na czem ta ładność polega.

— Najładniejsza Sońka—któż temu zaprzeczy? pośpieszył wtrącić Żmych, z całą przebiegłością.

— Pewnie że ona, gdy tak wszyscy mówią. Ale druga?

— Druga?... i to wszyscy wiedzą, kto druga.

— Ale ty nie wiesz?

— Może i wiem...

— To powiedz.

— Czy czasem nie Kulinka?

— Ho! Ho! odezwał się Hypko, zarazem zły i dumny. Skąd znachorowi znać się na urodzie panien. On tylko na djabłach zna się.

— Dobrze Żmych mówi. Kulinka — druga ładna, potwierdził znów najstarszy.

— A mnie się widzi, zabasował kowal, że najładniejsza ze wszystkich dziewek — to Marycha.

Na to parsknięto śmiechem.

Marycha koszlawa garbuska, postrach i pośmiewisko chłopców, była właśnie córką najstarszego.

— Ha, ha! Choć ja już i wzrok tracę, to wi-

dzę, kowalu, że nie o nią się starasz, ze śmiechem również odparował ojciec.

Znachor powiedział dobrze.

Tu starzec nagle się wyprostował, wyciągnął rękę ku tłumom i z wielką siłą przemówił temi słowy:

— Niema już innej rady. Trzeba zacząć siec dziewki. Inaczej nigdy dżdżu nie będzie, aż do końca.

— I do krwi siec — znowu dopowiedział znachor:

— A tybyś może chciał trzymać, złowrogo zaśmiał się Mikoła.

— Durny! Czort! obruszył się na znachora już szczerze zagniewany Hypko.

— A ty się, baćko, nie bój, szepnął mu najstarszy; nie katy my, nie skrzywdzim zbytnio dziewczątek; od tego jeszcze nam tylko wypiękniеją.

Po tych niedługich rozprawach uchwalono uroczystość naznaczyć na jutrzejszy ranek.

Ogólnie przyjęto uchwałę ze spartanskim spokojem. Młodzież wyrażało ofiarom swe współczucie, być może niezupełnie szczere.

Żmych triumfował ze swej polityki. I tylko dwie biedne dziewczyny, których to dotyczyło najbliżej, nie czując powołania do bohaterskiej roli, protestowały bardzo energicznie. Płakały, lamento-

wały, darły na sobie szaty, i wpadłszy w szał rozpaczy, pobiegły topić się do Żmyry.

Lecz przesąd sieczenia dziewcząt gwoli potrzeby deszczu, niezawodnie dawniejszy niż przesąd orania wody, boć przecie ludzkość, nim jeszcze pług wynaleziono, już chyba biła w skórę, — tak tkwił widocznie głęboko w duszach mieszkańców Michnyczanki, że nawet najbardziej współczujący pośpieszyli ku rzece, by desperatkom uniemożliwić zbrodnię samobójstwa.

Jakoż je przyłapano i na noc zamknięto w szopie. Szopy kazano pilnować paru najtęższym mołojcom, w których liczbie znalazł się i kowal.

---

Zeszedł dzień parny nadzwyczaj i spłonął zorzą miedzianą, zapadła ciemna noc, zupełnie ciemniusieńka, bo księżyc od paru dni już bardzo zmizerniały, teraz jak gdyby zniknął, rozpłynął się w ciemności.

Długo nie milknęły w szopie żałosne narzekania. A straż przy szopie czuwała, milcząc jak na pogrzebie, a miny miała surowe, wstrętne katowskie miny.

Za zbliżeniem się wszakże północy ucichły w szopie jęki, natomiast koło szopy rozległo się głośne chrapanie. Posnęli dzielni mołojcy. Lecz nie spał kowal Mikoła. Ten podszedł na palcach do

szopy, i przyłożył usta do szpary.

— Kulino! zawołał szeptem, Kulino! Sonko! Czy wy śpicie?

— Aj! ktoś ty?.. odpowiedział z wewnątrz trwożny głos.

— To ja, Mikoła, szepnął znów, nie bójcie się Kulinko, nie bójcie się.

— To i ty katem jesteś, jęknęła żałośnie Kulina

— Mnie o katostwo posądzasz?

— A pocóż nas pilnujesz?...

— To dla waszego dobra...

— Ach, Mikoło, Mikoło!..

— Mnie chyba wierzyć możecie; że nie chcę dla was złego,

Nareszcie branki dały się przekonać. Podeszły blisko do niego; zawiązała się rozmowa, co prawda pełna westchnień i przerywana szlochem, jednak z niej dowiedział się kowal wiele ciekawych rzeczy o Żmychu, o jego niefortunnych zaletach, o przechwałkach i groźbach. Wymiarkował też z tej rozmowy niejedno i w końcu to, co go obchodziło jeszcze daleko bliżej niż Żmychowe łajdactwa, a co streściło się w następujących słowach ukochanej dziewczyny:

— Mikoło, mój Mikołko, kiedy pewna jestem, że ty mój na wieki, to już się niczego nie boję. Niech już teraz mnie sobie choć trzy dni zrzędu sieką — ja zniosę wszystko dla ciebie.

— Gołąbko, — zapewniał, — już moja w tem głowa, by ciebie złe nie spotkało. Już wierz mi kiedy mówię. I ty, Sonko, się nie bój. Dobrze będzie.

— A z kim to ty tam rozmawiasz, przerwał im głos Żmycha, który tej nocy nie spał i krążył jak złodziej po wiosce.

— A mówię pannom, by siedziały cicho, bo płaczem swoim strażnikom spać nie dają.

— Nie spać, psubraty, nie spać! — Zaczął łajać mołojców, którzy nie rozumieli ze snu, o co idzie.

Nareszcie, rozbudzeni, przybrali znów miny cerberów. — Ale zaledwo znachor się oddalił, Mikoła zbliżył się do mołojcow i zaczął coś im szeptać, pewnie coś wesołego, co chwila bowiem wybuchali śmiechem. — Potem zaczęto radzić i popijać wódkę, o której już kowal pomyślał był zawczasu. Po skończonej naradzie znów zachrapali dozorcy... Tylko Mikoła czuwał, jak żołnierz na czatach.

Kury już piały tu — owdzie — po chałupach. Na niebie zaczęło szarzeć. Zdawało się, że świt wstaje z jakąś niezwykle tajemniczą miną, zapowiadając dzień pełen niezwykłych wydarzeń. —

Uroczystość odbyć się miała w lesie, na pięknej polance, znajdującej się o parę wiorst od wioski. — Wybierano do takich ceremonij miejscowość

możliwie malowniczą. Myślę, że to się wiązało nie tyle z poczuciem potrzeby pięknego otoczenia (dla pięknych dziewcząt), co raczej z echami wspomnień — jeszcze się błąkających w psychice pospólstwa — o świętych gajach pogańskich.

Zaledwie wzeszło słońce — już pełno znalazło się ludu Bożego na polanie Była tu większa gromada, niż wówczas na brzegach Żmyry, gdy stare baby wyorywały z rzeki deszcz. Ba, więcej jeszcze, niż było ludu w całej Michnyczance, — gdyż, — jak mówiono, — ściągały rzesze ciekawych z różnych stron sąsiedztwa. Nawet podobno zamierzali zjechać najmłodsi panowie Siekierowicze, by swoją obecnością uświetnić ceremonję.

Widzowie ustawili się kołem u skraju polany Najmłodsi włazili na drzewa, by nic nie stracić z widowiska. Najlepsze miejsce — bo nie wysoko i najbliżej sceny — zajęła z powagą starszyzna.

Pośrodku polany na łagodnym wzgórku stało kilka bab tęgich i wcale jeszcze grzechu wartych, choć już nie najpierwszej młodości. Dwie z nich moczyły rózgi w wiadrze z wodą. Były to owe „kacice"... Ku grupie tej właśnie pod strażą mołojców zbliżyły się biedne ofiary. Orszak prowadził kowal. Oddawszy branki pod opiekę kobiet, podniósł rękę do góry, na znak, że ma obwieścić coś ważnego — i szybko zmierzał ku starszyznie, a za nim podążała reszta towarzyszy.

— Baćki! krzyknął Mikoła. Baćki! To nieczysta sprawa! To wielkie ściągnie nieszczęście, a nie sprowadzi ani kropli deszczu! Bo djabeł tu się wmieszał!

— A ty skąd wiedzieć możesz?

— Nie tylko ja, ale i oni to wiedzą, — Czyż nie tak? — zwrócił się do mołojców. Ci milcząc, kiwnęli głowami. — Bo rzecz się miała tak: ledwo zaczęliśmy pilnować tych niewinnych panienek, zaraz nas zmorzył sen. — I spaliśmy jak zabici.

— Tak dobrze pilnowali!... I jeszcze chwalą się!...

— Już to, że źle pilnowali, przyznaję. Bo że wszyscy spali, jak jeden, Żmych to może poświadczyć.

— A jakże, spali, gałgany potwierdził zagadnięty.

— A we śnie mieliśmy widzenie. Ukazał się nam święty Mikołaj, cudotwórca, mnie się najlepiej pokazał, bo to mój dobry patron. Zeszedł ze złotych obłoków i tak przemówił, groźnie:

— Czy w Michnyczance już ludzie podurnieli, — że cokolwiek uczynią to grzech, albo głupstwo? Starszyznę, rzekł, i tak już piekło czeka za ich pogańskie życie, za złe oranie wody i za słuchanie rad Żmycha, który z czartem trzyma. Ale że wy, mołojcy, nie tak jeszcze grzeszni, stoicie za nieprawdą to mnie tak rozgniewało, że zeszedłem

z obłoków, by wam dać przestrogę, — Czyż nie tak mówił, znów spytał kowal swoich towarzyszy,

— Mówił, a jakże mówił, zawtórowali chórem.

— Otóż, jeszcze tak mówił do nas święty: „Już kiedy chcecie siec dziewki — tak aby z tego co wyszło — to sieczcież najpiękniejsze — A mnie świętemu się widzi, że i ta wasza Sonka — i ta wasza Kulina — wcale tak ładne nie są, jakiemi być powinny. — Z tego, rzekł, dżdżu nie będzie, tak jak z babiego orania — a ciężki grzech weźmiecie na sumienie, gdy pozwolicie bić tych, kogo bić nie warto!"

— Bo i powiedzcie szczerze, podnosząc głos, rzucił w tłum kowal pytanie, czyż to już we wsi naszej nie znajdzie się panien ładniejszych od Sonki i Kuliny?

— Są ładniejsze... rozległy się głosy.

— Są o wiele ładniejsze...

— Ale i one ładne... —

Wszczęła się wielka wrzawa. Kowal podniósł znów rękę. — Słuchajcie, co jeszcze mówił święty. On mówił jeszcze tak:

„To za namową djabła, — skłamał Żmych, a starzy mu uwierzyli, bo już kiepsko widzą. A ja wam powiem, powiada, kto to sprowadził klęskę, abyście wiedzieli. To znachor ją sprowadził. On może ją zażegnać, ale nie chce. A że mówię prawdę, poświadczy to Kulina. Spytajcie się jej

biednej." — Rzekł i zniknął, znów włażąc na obłoki. — Nas wtedy sen odleciał, Czyliż nie tak było?

— Tak było — powtórzyli mołojcy.

— A ty co na to, Kulino?

— A tak, tak, świadczyła słowom świętego, zalecał się, zalecał do mnie ten krwiożerca. — Kusił bogactwami, a chwalił się bezbożnik, że może deszcz sprowadzić. — „Lecz ty mnie wprzódy pokochaj, mówił, bez tego dżdżu nie będzie. Niech sobie wieś mrze z głodu, ja nie kiwnę palcem."— Tak! — Święty Mikołaj także mówił, znowu zabrał głos kowal, że to nie panny siec rózgami trzeba; trzeba batożyć znachora, a batożyć go póty — aż póki deszcz nie spadnie.

— To może tak i zróbmy? Święci mądrze radzą.

— Tak, sprawiedliwie radzą.

— Zacznijmy tedy od Żmycha — zawyrokował najstarszy. — Hej, chłopcy, brać go, a walić nie żałując, huknął na mołojców.

Dzielne parobki w lot pochwycili Żmycha — i ani ten się spostrzegł, jak plackiem leżał na ziemi, a grad potężnych razów spadał mu na plecy — Nieborak krzyczał w niebogłosy. Lecz chłopcy nie zważali.

— A będziesz ty klęski nasyłał, dogadywali, batożąc.

— A sprowadź deszcz!... A sprowadź deszcz!...

I o dziwo!...

Ledwo się to zaczęło — a już w powietrzu wionął świeży chłodek., i kilka bujnych kropel spadło na polany...

To był początek burzy, która się zrywała. — Chwila, a słońce już zamgliły chmurki, zerwał się wiatr z odgłosem dalekiego grzmotu, a zaraz potem nagle błysnęło w górze wprost nad samą polaną spadł piorun tuż gdzieś w lesie... Niebo wnet pociemniało. I lunął deszcz, jak z cebra. —

Być może. uwaga wszystkich była tak pochłonięta dramatem, dziejącym się na ziemi, że na myśl nikomu nie przyszło — podnieść wzrok ku niebiosom, gdzie już od dobrych chwil paru zbierało się na burzę.

Historja o tem milczy.

Dosyć, że spadł deszcz. Spadł dzięki znachorowi. Kulina i Sonka nie doznały krzywdy. Niedoznały jej dzięki kowalowi Mikole. A ten, nie w ciemię bity, nie omieszkał się zgłosić po zasłużoną nagrodę. Wesele odbyło się w dzień świętego Spasa.

---

W tym samym czasie, gdy w Michnyczance sprowadzał deszcz Żmych, znachor wioskowy, w Kołabuzie sieczono dwie urodziwe dziewoje, sieczono z przykładnym zapałem i nie bez parady.

Stąd powstał rozłam w opinji, kogo właściwie bić trzeba: czy panny czy znachora?

Ale jest rzeczą pewną, że od pamiętnej daty opisanego powyżej wydarzenia, nietylko w Michnyczance, lecz nawet w Kołabuzie, gdy bywa lato suche i grozi nieurodzaj, — jest rzeczą wcale nie łatwą doszukać się znachora.

# Tajemnica długiego i krótkiego życia.

## I.

Spory szmat lądu i morza zajmowało nieporównane imperjum wielkiego Li-Czyng-Ki-Jamy. Było to jedno z najznakomiciej urządzonych i najznakomiciej rządzonych na świecie mocarstw.

Wszyscy poddani tam słynęli z rozsądku i zdrowych przekonań politycznych; wszyscy byli jednakowego wzrostu średniego, i wszyscy tak do siebie podobni, jak jedna kropla wody do drugiej.

Bowiem imperjum to było wysoce oświeconym krajem.

Byli tam dygnitarze, byli uczeni i filozofowie, byli bankierzy, kupcy, dozorcy więzienni, profesorowie wszechnic, aptekarze, książęta krwi i różni inni utytułowani... Byli tam, z konieczności zresztą, i ludzie zwyczajni, indywidua ciemne i bez znaczenia, czyli właściwy plebs, inaczej mówiąc: pospólstwo, motłoch, albo hołota.

Tych ostatnich jednakże uszczęśliwiała oświe-

coność przodujących w kraju ekscelencyj, z których każdy im większą posiadał naukę, tem wyższą piastował godność, a im wyższą piastował godność, w tem dłuższych wypadało mu pogrążać się zadumach, chłodzące popijając napoje, w obłokach dymu buchającego ze wspaniałej fajki.

Ale na to, by dojść chociażby do najniższej godności należało poskładać odpowiednio trudne egzaminy.

I tak, trzeba było przed nieposzlakowaną komisją odpowiedzieć z pamięci i bez zająknienia na pięć zasadniczych, trzy drugorzędne i dwa uboczne naukowe pytania, aby otrzymać order „Księżycowej miotły", a przez to samo godność zamiatacza placu w powiatowem mieście. W stolicy, dla zaznaczenia jej wyższości nad innemi miastami, urzędu tego nie było. Ażeby zostać komisarzem policji, wymagało się co najmniej w dwójnasób większej wiedzy.

Jeżeli zatem uprzytomnimy sobie, ile to stopni hierarchicznych oddziela takiego stróża i kierownika porządku ulic od dyrektora cesarskiej nadwornej kapeli, to może zdołamy wyobrazić, jak wysoce ukształconym musiał być ów pasterz dźwięków niesfornych, skoro dozwolonem mu było wymachiwać laseczką nawet przed majestatem.

Wszyscy obywatele zwyczajni ubierali się jednakowo: żółto. W miarę jednak wyższości urzędu noszono bogatsze i barwniejsze stroje. Już nawet

„spensjonowany inspektor od sikawek", miał na swym żółtym uniformie naszyte dwie gwiazdki zielone. Oficer gwardji miał cały płaszcz z sutego fioletowego jedwabiu. I tak szło w górę. Z podnoszeniem się rangi, podnosiła się świetność barwy na wierzchniem ubraniu, a przy jeszcze większych zasługach nawet i na spodniach. Nie stało bowiem nierządem imperjum wielkiego Li-Czyng-Ki-Jamy. I słusznie rzec można, iż nietylko mądrość, jak to widzimy z trudności egzaminów, ale i sprawiedliwość rządziła tym wysoce kulturalnym krajem.

Nie była tam w zaniedbaniu nawet sztuka, tylko tam nie było o nią sporów, a to dzięki wybornym podręcznikom estetyki, które zatwierdziło ministerjum.

Kto w ziarnku ryżu lub pszenicy, nie psując jego wierzchniej powłoki, potrafił wyrzeźbić drugie, mniejsze ziarnko, ten uważany był za artystę. Za wielkiego artystę uchodził ten, kto wyrzeźbiwszy w jednem ziarnku drugie, w tem drugiem potrafił wyrzeźbić jeszcze jedno, już bardzo maluchne oczywiście ziarneczko. Ale ten, kto w jednem ziarnku, wydłubawszy drugie, a w drugiem trzecie, i w tem trzeciem (zawsze nie psując skorupek) zdołał wyskrobać jeszcze jedno, już całkiem mikroskopijne, — takiemu nawet z urzędu przyznawano tytuł prawdziwego mistrza. Przyjmowały go wyższe sfery, zatwierdzało go ministerjum, i nawet

sam wielki Li-Czyng-Ki-Jama interesował się jego talentem, a czasem, bywały wypadki, raczył nawet dopuszczać mistrza tej miary, narówni z mistrzami i ambasadorami obcych mocarstw, do uroczystych bankietów, olśniewających blaskiem, mój Boże, i jakiejże wytwornej etykiety!

II.

Wiadomo, że na całym świecie ludzie są jednakowo źli i nielojalni. Jeżeli więc w imperjum tem wszyscy byli rozsądnymi obywatelami, to nie należy wcale przypisywać tego szlachetności ich wyjątkowej natury. Należy to przypisać temu, że mieli doskonały kodeks karny, kodeks, który był wprost jakby wymarzonem przez patrjotów matematycznem jakiemś arcydziełem!

Oto na dowód — pierwszy lepszy z jego paragrafów:

„Jeżeli czlowiek zwyczajny wobec dostojnika pierwszej (t. j. najniższej) klasy siedzącego usiądzie, to winien za to otrzymać jedenaście „bambusowych pogłaskań"—tam, gdzie prawo uważa za—najstosowniejsze.

„Jeżeli wobec urzędnika drugiej klasy siedzącego usiądzie, to należy mu się dwa razy więcej rzekomych pogłaskań, czyli razem takowych dwadzieścia i dwa.

Uwaga 1. Zwyczajny wobec dostojnika pierw-

szej klasy siedzącego powinien stać, wobec leżącego może siedzieć. Wobec dostojnika drugiej klasy siedzącego, powinien chodzić, wobec stojącego biegać, wobec chodzącego skakać i t. d.

Uwaga 2. Jeżeli więc zwyczajny wobec dostojnika pierwszej klasy siedzącego się położy, karany ma być tak samo, jak gdyby wobec urzędnika drugiej klasy chodzącego chodził.

„Jeżeli zatem zwyczajny wobec ekscelencji siedzącego zacznie chociażby skakać — to zważywszy na wysokość stanowiska tego dygnitarza, ma ulec karze odpowiednio wyższej, czyli łagodnemu odpiłowaniu głowy.

I jakże teraz się dziwić, że wobec tak doskonałego ustroju, nieporównane imperjum owo, jakkolwiek spory szmat zajmowało lądu, lubiło zaokrąglać swe granice, pragnąc jak najwięcej ludzkości uszczęśliwić swemi znakomitemi urządzeniami!

III.

I oto niejaki Fu, obywatel takiego kraju, człowiek zwyczajny, ubierający się całkiem żółto, bez żadnej gwiazdki ładniejszego koloru, żywiący się najgorszym gatunkiem ryżu i herbaty, nie mający prawa nawet zamarzyć o wybrednych przysmakach, w rodzaju pasztetu z piętek pajęczych lub tartych w miodzie gąsienic, nie umiejący odpowiedzieć bez zająknienia nawet na jedno trudne naukowe pyta-

nie, słowem osobnik ciemny, bez zasług i znaczenia, to nic zupełne — ten nędzarz, ośmielił się być w głębi ducha (naturalnie tylko w głębi ducha) ośmielił się być innego niż wszyscy, niż prawo i nauka nakazywały, o urządzeniach jego ojczyzny zdania!

Jakże jest straszną ciemnota ludu, jak błogosławić należy patrjotów, którzy walczą z analfabetyzmem!...

Biedny Fu był zdania, że wcale mu nie jest tak dobrze przy tych urządzeniach, jak wszyscy go o tem zapewniali, że owszem, bardzo jest źle nawet. Był oczywiście zupełnym idjotą, nie umiejącym myśleć serjo, t. j. brać rzeczy „tak jak one są"... Marzyciel niezdolny dostosować się do najprostszych wymagań zdrowego rozsądku, indywiduum pozbawione taktu i zmysłu orjentacji...

Fu w żaden sposób nie umiał sobie poradzić z liczeniem gwiazdek na spodniach nawet u znacznych dygnitarzy.

Nieraz więc za to odbierał mniejsze lub większe porcje bambusowych połechtań, zależnie od powagi osobistości, z którą miał szczęście się spotkać. A ponieważ i kije nie zdołały nauczyć go obowiązkowości, nic więc dziwnego, że coraz to więcej doznawał niezaprzeczonych dowodów prawidłowego funkcjonowania i znacznej biegłości w matematyce miejscowych władz wykonawczych.

Kto inny wytrwałby może cnotliwie, z determinacją, aż do końca, znajdując pocieszenie w samedoskonałośc funkcjonowania prawnego systemu. Ale Fu, niestety, nie należał do cnotliwych.

Fu nie miał w sobie zdrowego poczucia, nie miał należytego poszanowania dla nienaruszalnej świętości przyjętych powszechnie zwyczajów i postanowień i zaczął... filozofować. Uciekłszy od ludzi — w samotności — w tajemnicy zupełnej zaczął się karygodnie zamyślać, zastanawiać — i nad czem? nad wynalezieniem sposobu wymknięcia się słusznym wyrokom, czyli nad oszukaniem prawa!

Wiedząc, że w imperjum tak znakomicie rządzonem żadna siła ludzka nie zdoła wydrzeć winnego zasłużonej karze, zaczął przemyśliwać nad tem, czyby nie było możliwem w jakiś sposób zmniejszyć przynajmniej ból, albo skrócić czas trwania jego, chociażby pod względem wewnętrznego odczuwania nieprzyjemnych wzruszeń.

Wiadomo, że czas niekiedy wlecze się po żółwiemu, niekiedy leci szybkiem skrzydłem ptaka. Czas jest zawsze jednaki, lecz w odczuwaniu naszem godzina może się wydać jedną chwilą, tak dobrze jak i całym wiekiem. „Godziny dłużą się w lata, a lata nikną jak chwile“ — głoszą mędrcy. Musi zatem wewnątrz nas samych, w naszej duszy

leżeć przyczyna owego skracania się lub przedłużania czasu.

Musi być jakiś sekret.

I oddawszy się z całym, właściwym samoukom uporem i zaciętością trudnym filozoficznym dociekaniom, zrobił Fu, po pewnym dosyć długim zresztą czasie, epokowe odkrycie. Znalazł sposób skracania chwili. Przy pierwszej z łatwo nadarzających się sposobności, wypróbował wynalazek, i z biegiem czasu udoskonalił go do tego stopnia, że umiał skracać ból, trwający wiele godzin, w odczuciu swem, do mniej niż jedna sekunda. A doszedłszy do takiej perfekcji, zaczął drwić sobie z prawa i sprawiedliwości.

Jakże niebezpieczną jest wiedza w ręku ciemnego pospólstwa!

Lecz wynalazca nasz nie zatrzymał się na tem jednem występnem odkryciu. Miał on młodą i urodziwą małżonkę, która codziennie listkami aloesu, umaczanemi w rycynowym olejku, okładała dosadne ślady sprawiedliwości na jego nędznem, chudem ciele. Czyniła to z dumą i ze łzami w oczach. Dzięki tej słodkiej kobiecie doświadczył Fu nieco dostępnych nawet dla niedostojnych osób, miłych chwil w życiu. Lecz chwile te jak każda radość ziemska, trwały tak niewymownie krótko! Przyszła mu zatem myśl niezła, by i do tych znikomych momentów szczęścia zastosować

środek skuteczny w długotrwających godzinach cierpienia, a zastosować go naodwrót, t. j. by działał w kierunku przedłużania.

I to mu również świetnie się udało, tak dalece, że słodycz jednej przelotnej pieszczoty był w stanie rozciągnąć na długość całych godzin szczęścia i nawet jeszcze na dłużej.

Już teraz czuł się zupełnie zadowolonym z losu. Zmienił się całkiem. Z melancholijnego, stał się wesołym i swobodnym, z milczącego rozmownym a nawet nieco przekornym i wyzywającym. Wyładniał, wypogodniał na twarzy i zaczął nawet tyć. A zrobił się już zupełnym arogantem z chwilą, gdy wybornemu swemu dziełu, jakkolwiek to nie miało nic wspólnego z literaturą, znalazł odpowiedni tytuł. Nazwał je „Tajemnicą długiego i krótkiego życia."

Nadobna Ti cieszyła się niezmiernie ze zmiany usposobienia męża, lecz z wrodzonej każdej kobiecie ciekawości żądała natarczywie, aby wyjawił jej, czemu zawdzięcza tak pomyślną zmianę. Fu opierał się długo, ale w końcu nie wytrzymał— i przyznał się żonie, że zrobił naukowe odkrycie. Zaklinał się przytem na wszystkie świętości, żeby nikomu o tem nie mówiła, gdyż w przeciwnym razie mogłoby to ściągnąć na jego głowę, Bóg wie, jakie wielkie nieszczęście. Ti dała mu święte przyrzeczenie, że będzie jak grób niema, poczem, na-

turalnie, jako prawdziwa kobieta, pobiegła zaraz do sąsiadki, aby pochwalić się przed nią, jakiego ma genjalnego męża. Sąsiadka najbliższa powtórzyła to sąsiadkom dalszym, i stało się tak, że po pewnym czasie jakiś cnotliwy patrjota poczuł się w obowiązku donieść o niebezpiecznem odkryciu odpowiednim organom władzy. Te zaś, wykazując tym razem wzorową swą sprawność i gorliwość, pośpieszyły niezwłocznie uwięzić nieproszonego wynalazcę.

I oto domorosły nasz uczony musiał stanąć przed sądem, pod zarzutem samowolnego dokonania odkrycia bez uprzedniego złożenia egzaminów, a tem samem o przekroczenie ustawy, sankcjonowanej zgóry, której przestrzeganie, jako i przestrzeganie wszelkich wogóle ustaw, jest wyraźnem życzeniem monarchy, czyli — o zbrodnię obrazy majestatu.

Proces trwał krótko i odbył się jak najprawidłowiej. I Fu mógł być zupełnie zadowolonym z przebiegu rozprawy, gdyż z całem zachowaniem przepisów został zasądzony na powolne rozpiłowanie dwiema w przeciwne strony piłującemi piłami.

Nietylko jednak chodziło w tym kraju o karę samą (owszem, chodziło o nią), lecz dbano też i o danie winowajcy możności naprawienia choć w części wyrządzonej społeczeństwu krzywdy.

Fu zatem miał wykonać teraz to, czego nie

wykonał w porę. Miał zwierzyć swój sekret władzom. I w tym celu wzięto go na tortury przedwstępne, zwane prowizorycznemi, prewencyjnemi, albo jeszcze inaczej, zależnie od podręcznika, w którym o tem mowa.

## IV.

Trudno jest bez błogiego uśmiechu zadowolenia wspomnieć o czemś tak pięknem i budującem jak to, czem w oczach świata całego był park wielkiego Li-Czyng-Ki-Jamy, prawdziwa chluba narodu, miejsce gdzie dojrzewały przesłodkie owoce sprawiedliwości.

W długich alejach, pomiędzy zielonością palm i posągami z marmuru, ciągnęły się nieskończone rzędy rusztowań, zbudowanych z niezmiernie drogiego zamorskiego drzewa. Na szczytach ich poustawiane były misterne „przyrządy", wszystkie ze złota, srebra lub słoniowej kości.

Artystycznie rzeźbione krzesełka o naszpilkowanych poręczach, wytworne szezlągi służące do łagodnego łamania nóg i ramion; rodzaj maszynek do szycia, zaopatrzonych w ząbkowate kółka, rozciągających stawy powoli a skutecznie... Słowem to wszystko, co krzepi serca w cnotliwych obywatelach — to wszystko było w tym wspaniałym ogrodzie, który zarazem był i najweselszem miejscem w ojczyznie, miejscem jubileuszowych obcho-

dów, wojskowych ćwiczeń i poobiednich przechadzek.

Grała tam codzień muzyka. Drogi usypane były złotym piaskiem; drzewa udekorowane monogramami cesarza i niezliczoną ilością różnokolorowych latarek. Co wieczór alejami przechadzały się tłumy, przyglądając się budującym ducha widowiskom, po których bywa sen zdrowy i lepszy apetyt. Przed ciekawszemi miejscami wolno było zatrzymywać się dłużej i klaskać w dłonie, wydając przepisane okrzyki.

Przedwstępne „słodkie połechtania", którym poddano wynalazcę, miały trwać trzy dni. Były one, w całem znaczeniu słowa, bez zarzutu.

Postawiony przed osobliwem, specjalnie dlań skonstruowanem przesubtelnem jakiemś „perpetuum mobile", Fu nieco się skrzywił, wyrazem strachu, nie pozbawionym zresztą i zaciekawienia nic dziwnego. Najgenjalniejszy nawet odkrywca jakkolwiek jest pewnym skuteczności swego wynalazku, zarówno jak i lekarz doskonale wypróbowanego środka, nie w każdej chwili są skłonni do wykonania tak na zawołanie próby, a to tembardziej, gdy ma się odbyć ona na ich własnej osobie... Więc Fu się skrzywił mimowoli. A kiedy go wsadzono w maszynę skrzywił się jeszcze bardziej... I za pierwszem puszczeniem jej w ruch nawet krzyknął z boleści, — lecz krzyknął krótko

raz jeden, jakby od niespodziewanego ukłucia, i natychmiast zamilkł — uśmiechając się błogo do sprawiedliwości.

Wówczas ekscelencja od tortur, cały ubrany różowo, po długiem i pięknem, dostrojonem do powagi chwili przemówieniu, zwrócił się doń z żądaniem, aby wyjawił sekret.

Ale Fu odpowiedział milczeniem. Uśmiechnął się jeszcze łagodniej i przymrużył powieki, jak gdyby zasłuchany w śpiew ptaków, którym o tej godzinie rozlegał się park cały.

Ekscelencja przeczekał odpowiednią chwilę i odszedł w świetnym orszaku innych dygnitarzy pozostawiając skazańca — na dłuższe rozmyślania

Słońce jasno świeciło. Aleje parku roiły się od tłumów.

Różni ludzie przechodzili koło Fu, ciekawsi zatrzymywali się przed nim dłużej, a niektórzy nawet kiwali głowami z uznaniem, że tak pięknie kona...

Nareszcie zapadł wieczór, i cisza zapanowała zupełna. Z za drzew ukazał się księżyc i płynął wolno po niebiosach, aż stanął nad nim w górze srebrny i promienny.

A potem kwiaty zapachniały mocniej, i niebo znowu zbladło — gdzieś w oddali, w oddali odezwał się śpiew pełen rzewności... zapewne głos słowika — bo to było w maju.

## V.

Dwa razy jeszcze, to znaczy nazajutrz i dnia trzeciego powtórzono przed nim to samo zapytanie. Ale przestępca znowu nie dał żadnej odpowiedzi.

Nie pozostawało już nic innego, jak czwartego dnia rano wykonać na nim dalszą część wyroku.

Wydobyto go z karbów filigranowej maszyny i poprowadzono ku innej części parku — ku oddziałowi pił.

Jak to jednakże zawsze dzieło myśli ludzkiej bywa niedoskonałem! Nawet w tem wzorowem prawodawstwie znalazła się luka — wada, która dopiero w naszych czasach została usunięta na zawsze. Bóg wie z jak dawnych barbarzyńskich epok zabłąkany istniał tam zwyczaj, pozwalający skazańcowi w ostatniej godzinie żądać niektórych, godziwych zresztą przyjemności, mogących osłodzić jego opłakaną dolę.

Stanąwszy więc przed szafotem, wyraził Fu życzenie pożegnania się z swoją nad życie umiłowaną małżonką.

Przyprowadzono mu ją natychmiast, na koszt państwa.

Ale cóż? Niepoprawny ten człowiek zawezwał żonę jednakże nie dla samej radości widzenia się z nią przed śmiercią — zawezwał żonę

w zamiarze powierzenia jej tajemnicy swego wynalazku.

Lecz kiedy biedna Ti stanęła przed nim we łzach, z rozpuszczonemi włosami, piękniejsza jeszcze, niż owo najdrobniejsze ziarneczko wyrzeźbione wewnątrz najmniejszego ziarnka ryżu lub pszenicy (bez naruszenia skorupki) przez mistrza bywającego na najuroczystszych przyjęciach u monarchy, — to teraz po tylu dniach rozłąki, wydała mu się ona tak powabną i uroczą, że zapomniawszy o wszystkiem, porwał ją w drżące objęcia i na koralowych wargach nadobnej namiętny złożył pocałunek. Zbrodnia pociąga zbrodnię. Nieszczęsny nasz degenerat, w liczbie innych swych grzechów, lubił stosować ów wstrętny cudzoziemski zwyczaj przykładania ust do ust, doznając zapewne jakiejś chorobliwej rozkoszy w takiem odstępstwie od ojczystego sposobu pojmowania miłości. Dosyć, że pocałował publicznie własną żonę w usta. A pragnąc przedłużyć tę krótkotrwałą przyjemność, z pośpiechem zastosował swój środek — i zastosował go w dawce tak dużej, iż chwilę trwającą rozkosz całowania rozciągnąć zdołał w nieskończone czasy.

I tu się przerachował chytry Fu. Zapomniał, że jako człowiek śmiertelny nie może żyć wiecznie, w czasie więc trwania uścisku — wyzionął ducha.

Padł trupem u nóg ukochanej.

I ani piękna Ti, i ani jej przyjaciółka, i ani za nią świat cały, i nikt na świecie się nie dowiedział, na czem polega tajemnica długiego i krótkiego życia.

Sprawiedliwości jednak musiało stać się zadosyć. Nie mając już przed sobą żywego zbrodniarza, wykonano wyrok na umarłym. Rozpiłowano trupa jego dwiema w przeciwne strony piłującemi piłami.

# SPIS RZECZY.


| | str |
|---|---|
| Wesoły Marszałek | 3 |
| Dzieje Doży | 29 |
| Pogańska ofiara | 51 |
| Tajemnica | 77 |


BIBLIOTEKA NARODOWA

## W „Książkach Ciekawych“ wydano dotychczas:

Żeromskiego St. — „W Sidłach Niedoli“.
Wierzbińskiego M. — „Siostra Felicja“.
Wellsa, Lyttona, Kiplinga — „Niesamowite opowieści“
France'a Anatola — „Święty Satyr“.
Filochowskiego W. — „Amulet Ozirysa“.
Gobineau J. A. — „Gamber-Ali“.
Ligockiego Edw. — „Komandor Sidi Numan zu Stollberg“.
Grabowskiego-Okszy Ig. — „Granum Salis“.
Lemańskiego J. — „Prawo Mężczyzny“.
Daniłowskiego G. — „Nad Urwiskiem“.
Dygasińskiego Ad. — „Nowele“.
Teffi — „Kobieta Demoniczna“.
Hoffmanna — „Panna de Scudery“.
Domańskiej M. — „Fotografje mówią“.
Flaubert'a G. — „Legenda o Św. Juljanie Szpitalniku“.
Sierosławskiego St. — „Cierniowe drogi“.
Stevensona R. — „Morderca Markheim“.
Mark Twaina — „Historja podwójnie detektywna“
Krzewińskiego J. — „...121, 122, 123...“
Awerczenki A. — „Moje uśmiechy“.
Rabskiej Z. — „Barbarzyńca“
Nałkowskiej Z. — „Na torfowiskach“.

## W przygotowaniu:

Kellermann — Wśród świętych.
W. Filochowskiego — Człowiek w ciemnych okularach.

Wydawca
Feliks Gadomski

Redaktor
Stanisław Miłaszewski.

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001018616772

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
603145